

międoodrze

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

ZIELONA GÓRA 12 IV — 25 IV 1989 R.
POK XXXIII NR 8 [691] CENA 60 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



DIABEŁ Z TURYNNU



STR. 1-4

Rozmowa Z LECHEM WAŁĘSĄ

PROGRAM TV NA DWA TYGODNIE

KATYŃ

*Dzieci
KOSMOSU*

SCENY

mitosne

— Często słyszy się, zwłaszcza w środowisku gdańskim, że zmienił się pan bardzo, że to nie jest już ten sam Lech Wałęsa co siedem lat temu. Czyżby stał się pan bardziej ostry?

— Siedem lat temu byłem jedynie człowiekiem protestu. Protestowałem przeciw sytuacji bytowej, uwarunkowaniom społecznym. Dzisiaj z konieczności stałem się politykiem, także sama sytuacja zmieniła barwę na kolor typowo polityczny. Muszę kalkulować, ażeby wyjść na swoje, nie dać wpuścić się w maliny. Sytuacja zmusza mnie, żebym wiedział dużo więcej niż siedem lat temu. Niestety, ludzie często nie rozumieją tych kwestii — a im bardziej nie rozumieją, tym stają się dla nich

mi zdjęcie. Żyję w ciągłym stresie, na pięciu, w pedzie. Weźmy pod uwagę np. niedawną wizytę we Francji. W ciągu trzech dni miałem w tym kraju aż 80 wystąpień, a pojechałem całkowicie nieprzygotowany, bowiem w poniedziałek dowiedziałem się, słuchając „Wolnej Europy”, że mam paszport, w środę spotkałem się z Miodowiczem a w sobotę już wyjeżdżałem do Paryża.

— Mimo, że nie był pan przygotowany, to jednak należycie reprezentował nasz kraj, nie ośmieszył pan siebie, ani Polaków.

— Nie mógłbym sobie pozwolić, ażeby ośmieszyć Polskę, Polaków, to, o co

— Nie tak dawno w wywiadzie mówił pan, że chciałby być dobrym politykiem, ale to się chyba panu nie udało. Biorąc pod uwagę liczne doświadczenia, nasuwa się pytanie — dlaczego? Czyżby głowa była zbyt słaba, a móżdżek zbyt gruby...?

— Nie. Po prostu nie chcę być politykiem. Dobrym czy złym. Politykiem, tak jak już wcześniej powiedziałem, zo stałem z konieczności a nie z wyboru. Uważam, że politykę powinni uprawiać ludzie, którzy mają tytuły przed nazwiskami i pokończzone uczelnie, bo im jest dużo łatwiej, mogą formułować zdania, tak jakby wyjmowali je z książki. Jestem politykiem — samoukiem, muszę sam budować zdania, sam się uczyć, potem sprawdzam w książce i widzę, że jest to tak samo napisane. Ale ile kosztuje to mnie wysiłku, kilkakrotnie więcej niż tych, którzy mają odpowiednio przygotowanie. Nigdy nie chciałem być tym, kim jestem, to życie zrobiło mi na złość.

— Czyżby chciał pan się ze wszystkiego wycofać?

— Z niczego się nie wycofuję. Chcę doprowadzić do pluralizmu, do wolności, potem oddać to wszystko w dobre, pluralistyczne ręce. Jeżeli ktoś będzie chciał zburzyć to, co wybudowaliśmy, wówczas będę się włączał, jeżeli nie, to odsuwam się i idę na rybki.

— Co pan sądzi o obecnym pokoleniu ludzi młodych? Istnieje bowiem pogląd, że jest to pokolenie stracone pod względem zdrowotnym i ideowo - moralnym?

— Osobiście posiadam zupełnie inne zdanie w tej kwestii. Uważam, że brak dobrobytu, szara rzeczywistość zmusza do formułowania tego typu poglądów. Ponadto mamy schyłek wieku, gdzie zawsze w każdej epoce występowała dezorganizacja, mówiło się o upadku wszelkich praw ideowo - moralnych. Być może odczuwamy schyłek wieku bardziej niż kiedykolwiek, bowiem środki przekazu stały się bardziej dostępne i komunikatywne. Nie jest prawdą, że za tym „plotem” jest skarpa, z której spadniemy, że w Polsce jedynie się umiera. Mamy złą sytuację bytową i podupadłą świadomość, ale tak naprawdę nie jest aż tak tragicznie.

— Nie jest źle, a mimo to wielu młodych, aktywnych Polaków opuszcza swój kraj...

Ciąg dalszy na str. 4

Wołanie na puszczy

Władysław Korcz

Nauczyciel, który nie przekazuje swoim podopiecznym wiedzy o najbliższej ojczyźnie, jest człowiekiem nie na swoim miejscu, a co gorsza, jest tylko formalnie wychowawcą, nie rozumiejącym podstawowych obowiązków i daleko mu do miana mistrza kształtującego postawę obywatelską swych uczniów.

Do postawienia takiej tezy zmusiły mnie wieloletnie obserwacje związane z karygodnymi zaniedbaniami, którym — niestety, patronuje szkoła: w stosunku do rzeczywistych potrzeb i zakresu znajomości, przede wszystkim historii najbliższego regionu.

Jeśli bowiem szkoła (czytaj nauczyciel) ma kształtować, a co do tego chyba nie może być wątpliwości, patriotyzm swoich wychowanków odnosząc się do „wielkiej ojczyzny”, odznaczając się odpowiednim zasobem wiedzy historycznej, uzupełnianej wiedzą o dniu dzisiejszym, to jak ta wiedza wygląda, jeśli w jej przekazywaniu został pominięty główny szczebel tj. region. Jakże słusznie stwierdził S.R. Dobrowolski, gdy pisał, że „kto nie umie być patriotą swojej wsi, swojego miasta rodzinnego, ten nie jest zdolny do jakiegokolwiek patriotyzmu”.

Stało się już dawno prawdą niepodważalną, „że bez więzi emocjonalnej z własnym regionem, przy braku zainteresowań jego historią i kulturą, nie mając poczucia tożsamości z określonym „kawałkiem Polski”, nie sposób kształtować patriotyzmu ogólnonarodowego”. (S. Pajka, „Młodzież o swoim regionie”, „Kultura i społeczeństwo”, t. XXVI, 1982, nr 3-4).

Co mam na myśli pisząc region i określone wobec niego obowiązki? Czytelników odsyłam do precyzyjnej definicji „regionu” danej przez prof. Jerzego Topolskiego w studium „Założenia metodologiczne badań regionalnych w zakresie historii” (w:) „Marksizm i historia”, Warszawa 1977, s. 423-436.

A więc specyfika terytorialna, jego pewna odrębność w stosunku do sąsiadów, akcentowana graniczną rzeką, pasem jezior lub łańcuchem wzgórz, odmienna a właściwa temu terytorium przeszłość, decydująca o specyfice odróżniającej tak rozumiany region od innych regionów. Czy granice administracyjne mogą wyznaczać region? Rzadko się to zdarza ze względu na ich częste zmiany, podczas gdy region jest czymś stałym, np. Wielkopolska, Mazowsze, Podlasie, Małopolska, czy wresz-

cie nasze, bliskie nam Srodkowe Nadodrza, nazywane do niedawna Ziemią Lubuską.

O ten region mi chodzi, gdy upominam się o specyficzne wobec niego obowiązki i o ludzi tutaj mieszkających. Rozumiejąc pojęcie „Srodkowego Nadodrza” nieco szerzej niż administracyjny twór, jakim jest województwo zielonogórskie, spróbuję bliżej określić, co mam na myśli mówiąc o obowiązkach wobec tak pojmowanego regionu. A obowiązki są różnorodne i wielorakie. Jest bowiem prawdą bezsporną, że „im bardziej różnorodna jest kultura regionalna, tym bogatsza kultura ogólnonarodowa i w tym należy widzieć sens i istotę wychowania młodego pokolenia w przywiązaniu do macierzystego regionu” (S. Pajka, j.w.).

Pierwszym obowiązkiem nauczyciela uczącego historii — w znacznie mniejszej mierze polonisty i geograf — jest zaznajomienie uczniów z przeszłością ich regionu. Czyż nie należy już w szkole podstawowej, pogłębiać w średniej, a doprowadzić do znawstwa w wysokim stopniu na wyższych studiach. W sumie ten wieloletni proces okazuje się wystarczający, by związać młodego człowieka z jego najbliższą ojczyzną. Jak należy to robić, aby rezultat był zadowalający — o tym strona?

Twierdzą nauczyciele, i to w większości, że nie mają w swym rozkładzie zajęć ani jednej godziny na historię regionalną, a program, którego realizacja każdego nauczyciela obowiązuje, nie zawiera osobnych punktów dotyczących historii regionu. Nie jest potrzebne ani jedno, ani drugie. Realizując program — nie jest to łatwa sprawa przy jego monstrualnej objętości — należy z poszczególnych paragrafów wyodrębnić te, w których łatwo jest dostrzec ścisły ich związek z problematyką Srodkowego Nadodrza. Na przykład: jeśli mowa jest o początkach państwa polskiego i jego organizacji za Mieszka I, nie prościej jest przedstawić ten problem relacjonując wydarzenia nad Odrą. Omawiając wojny polsko-niemieckie za Bolesława

Ciąg dalszy na str. 4

TAKI JESTEM

Z Lechem Wałęsą rozmawia Bogdan Kuncewicz

obcy. W 1983 roku zebrałem ludzi o podobnym do mojego stanowisku ideologicznym będących w danej chwili „pod ręką” — i wspólnie wybraliśmy koncepcję dalszego działania. Woła nasza nie było odbudowanie roku 1981. Zdecydowanie postawiliśmy na pluralizm, nawet w naszym ruchu.

— Osiemnaście lat pan już działa. W 1970 roku kierował pan strajkiem w gdańskiej Stoczni im. Lenina. Czy nie ma pan czasami tego wszystkiego dość?

— Powiem szczerze, że mam już tego wszystkiego serdecznie dość. Chciałbym wreszcie stworzyć sobie warunki do normalnej egzystencji, poczuć, że żyję, odpocząć. Wydaje mi się, że mam do tego prawo, zwłaszcza, że dla idei oddałem osiemnaście najlepszych lat swojego życia. Wiem, że ktoś mógłby mi zarzucić, że dzięki tym utraconym chwilom, stworzyłem sobie warunki, by dalsze lata życia spędzić w komforcie. Jeżdżę luksusowym samochodem, mieszkam w willi, która w rzeczywistości jest, jak pan widział, zwykłą budą. Ludzie często wypowiadają swe sądy bez zastanowienia bez znajomości rzeczy. Mało kto wie, ile kosztuje mnie wysiłku, energii, stresów, nerwów, ten rze komy luksus. To wcale nie jest miłe, gdy bez przerwy ktoś mnie pilnuje. Kiedy wchodzę do sklepu i kupuję sobie buty, to ktoś to wydarzenie odnotowuje. Kiedy drapię się po głowie, robią

walcę. Oczywiście, wysiłek był potworny, zwłaszcza, że pojechałem do ludzi, którzy doskonale orientują się w zagadnieniach politycznych. Będąc we Francji bezustannie musiałem być skoncentrowany, skupiony, aktywny, a to wymaga potwornego wysiłku.

— Koncentracja, skupienie, często po dyktowane są nieufnością wobec innych. Czy jest pan człowiekiem nieufnym?

— Mało tego, że jestem nieufny wobec innych. Bezustannie ostrzegam: nie wierzcie Wałęsie! Nie wolno mi wierzyc. Wierzyć trzeba w siebie, w strukturę, które budujecie, o które Wałęsa walczy. Ale powtarzam: nie wierzcie cwaniakom, między innymi Lechowi Wałęsie.

— Jakże wnioski nasuwają się panu z perspektywy tych osiemnastu lat?

— Uważam, że wciąż będziemy walczyć. Będą różne koszty, raz większe po stronie rządowej, raz po społecznej. Za wszystko będzie musiał ktoś zapłacić. Długa droga przeszedłem przez te osiemnaście lat. Wiem, że ludzie w przyszłości będą mnie poprawiać. Po prostu takie jest życie. Bezustannie trzeba walczyć, to motto życia. Osobiście uważam, że już wywalczyliśmy bardzo dużo. Odstawiliśmy straszliwą robotę — ja i moje pokolenie. Dzięki finezji, naszej walce, dochodzimy do pluralizmu.

WIOSNA 89'

W Lubsku jedna pani wypalała sobie trawę przed domem. Zrobił się z tego wielki pożar i wszystko — dom, obejścia, spłonęło. Straż codziennie wzywana jest do podobnych wypadków.

Tragedia zdarzyła się w wiosce koło Kozuchowa. Pozostawione chwilowo bez opieki dziecko przeszło na podwórko sąsiada, wpadło do niezabezpieczonego szamba i utonęło.

Dramatyczna sytuacja w rzekach, stawach i jeziorach. Wszystko tam umiera. Szacuje się, że pogłowię ryb spadło dwudziestokrotnie! Winę ponoszą truciela duży i mali, także gospodarze na wsiach, odprowadzający ścieki wprost do zbiorników wodnych.

Lasy zamieniają się w wielkie śmietniki, gdyż tam właśnie uparcie mieszkańcy wsi wywożą wszystko, co zbędne! Zasmiecone są zresztą miasta i wsie, zaniedbane zieleńce. Gorzej pracują dozorczy domów. Brakuje oświetlenia.

Place budów charakteryzują się tym, że panuje na nich bezruch. W najlepszym razie widać tam kręcące się pojedyncze osoby. Porzuczone inwestycje postępują do przodu powoli z powodu braku materiałów i siły roboczej. A wygląda tak, jak gdyby nikomu nie chciało się pracować.

Stan sanitarny sklepów, lokali i punktów gastronomicznych, placówek służby zdrowia, szkół, przedszkoli i innych miejsc, jest przedmiotem nieustannej troski ludzi, skupionych wokół „wojewódzkiego sztabu”, dowodzącego tegoroczną akcją „Posesja”.

Ale jak mówi mjr Franciszek Majewski kierujący w zielonogórskim WUSW wydziałem prewencji, największym problemem wciąż pozostaje pijactwo i alkoholizm. Prawda, że w społecznych komisjach i komitetach przeciwalkoholowych wiele osób pracuje z poświęceniem. Jednak efekty są minimalne.

W ostatnich dniach w jednej tylko gminie Brody wykryto dwie małe co prawda, ale jednak — bimbrownie. Trwają przy swoim meliny. Rozwija się przenośna sprzedaż wódki. Wzięty na spytki jeden z takich „komiwojażerów” przyznał, że bez większego trudu potrafi w ten sposób zarobić kilkaset tysięcy zł miesięcznie. Ludzie piją coraz więcej, kolejkę po gość. 13.00 nie ma lewej, Pija także w miejscach pracy.

I w tej sytuacji ogłoszone zostało hasło „Posesja”, czyli „wiosna 89’”. Jak co roku chwytamy za miotły i usiłujemy robić porządki, by uratować, co się jeszcze da. Oczywiście miotła jest tu symbolem. Nie chodzi tylko o zmiatanie. Raczej o wymiatanie — za pomocą wielorakich środków i sposobów — wszystkiego, co przeszkadza, zaśmieca, utrudnia, denerwuje, kompromituje.

Jest intencja, by tegoroczne działania, w przeciwieństwie do lat ubiegłych, nie było tylko zrywem — choć ma takie znamiona, lecz wzmocnionym wyprowadzie, ale niejako normalnym, codziennym zmierzaniem do poprawy fatalnego stanu rzeczywistości.

Budzi się przyroda z zimowego snu. Niechże obudzą się też ludzkie ambicje, nadzieje, chęci, energia! Dążenia do uczynienia lepszym tego kawałka świata, na którym przyszło nam mieszkać i żyć!

Program resortu spraw wewnętrznych do roku 1990 przewiduje nieustanną, zastrzeżoną kontrolę przestrzegania przepisów ustawy antyalkoholowej. Ale sama milicja, nawet przy pomocy ORMO i działaczy społecznych oświaty, nie może wyobrazić sobie, że walczy z przestępstwami, jeśli nie pomoże jej całe społeczeństwo. Chodzi o to, byśmy pili z umiarem i pijaków potępiali.

Funkcjonariusze „drogówki” mogliby opowiedzieć wiele o lekkomyślności i braku wyobraźni kierowców, zasłaniających za kierownicą w stanie nietrzeźwości. Tu nie może być mowy o żadnej tolerancji.

Podobnie rzecz się ma w zakładach pracy. Dyrekcje, kierownicy i wszystkie służby wewnętrzne, powinny ostrzeżenie reagować na przypadki picia wódki przez pracowników podczas godzin pracy. Nie, czekać, aż potrzebna będzie interwencja MO.

Do 20 kwietnia br. trwa zapoczątkowana 20 marca operacja pod hasłem „bezpieczne tory”. Chodzi o podniesienie estetyki i czystości na dworcach i w wagonach, poprawę obsługi podróżnych, większą punktualność pociągów.

Do końca kwietnia trwać będą wzmocnione działania zwane „posesyjnymi”, polegające na wskazywaniu wszelkich nieporządków, anomalii i wręcz niebezpieczeństw — bo i takie się zdarzają, na osiedlach, w budynkach oraz na wspomnianych już wyżej placach budów, często niepilnowanych i będących terenem złodziejskich penetracji.

Wspólnie z ORMO, strażą leśną oraz związkami łowieckimi i wędkarskimi, milicja tropi kłusowników zwierząt łownych i ryb. W tych przypadkach także nie żałuje się kar.

Na koniec dwa doniesienia z ostatniej chwili, z ulicy Bohaterów Westerplatte.

W środę 5 kwietnia br. około godz. 22.00 mieszkańców szeregu domów na wprost „Topazu” zelektryzował rozpaczliwy krzyk kobiety. Pani ta przechodziła ciemnym zaułkiem, zmierzając do mieszkania swego syna, gdy nagle napadł ją mężczyzna, przewrócił i... począł zdejmować z niej ubranie. Szczęściem blisko był pieszy patrol MO. Błyskawicznie zjawił się też radiowóz. Napastnik został schwytany. Okazał się nim, z wyglądu około 30-letni mieszkaniec Zielonej Góry, mocno podпиты.

Za tym szeregiem domów przy Bohaterów Westerplatte — od sklepu rybnego po „Goplanę” jest pusty plac, osławiony moimi licznymi publikacjami w „Nadodrze”. To tu właśnie, przed dwoma laty, odbył się rejonowany na naszych łamach „wiec pod ściegą gruszą”. Domy w ścisłej zabudowie przeważnie nie mają własnych podwórek. Tu sytuacja wygląda gorzej, niż gdzie indziej. Brud i bałagan nie do opisania. Dzięki parking autobusów i ciężkich wozów. Picie wódki pod śmietnikiem. A za siatką, przylegającą do postawionego niedawno „domu rzemiosła”, martwa budowa. Plac jest nieoświetlony, więc nocą wygląda upiornie.

Lokatorzy tysiąc razy prosili Urząd Miasta, by plac ten zniwelować i posadzić na nim zieleń, której tu brakuje, a która tu była — lecz przy takiej gospodarce została wytrzebiona. Dzieci miałyby się gdzie bawić, wszyscy mieliby czym oddychać, albowiem jest to miejsce bardzo zanieczyszczone przez spaliny. Prośby są daremne.

Teraz na plac wkroczył Zdzisław Piotrowski — były bojownik o Wiele Kształtów, następne o grybek na dekapku, wreszcie o założenie przez siebie Towarzystwo Miłośników Tradycji z ubogim, prowadzonym bez grosza pieniędzy, klubem „Zaplecze”. Przy poparciu komitetu blokowego, sobie tylko wiadomym sposobem gromadzi teraz codziennie podwórko drużyny piłkarskie, które rozgrywają mecze! Oczywiście jeśli pozwalają na to parkujące tu samochody. Wielki napis głosi: „Stadion — Starówka — Pod Topolami”. Oto godny naśladowania przykład aktywnego włączania się w tę naszą trudną i biedną „wiosnę 89’”.

HALINA SKARBK

Protest rolników

Pogłębia się impas w gospodarce rolnej. Dali temu wyraz członkowie Rady Wojewódzkiej Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych na swym ostatnim posiedzeniu w Zielonej Górze. Argumentują: sytuacja w hodowli staje się wręcz alarmująca, bowiem maleje pogłowię zwierząt, zmniejsza się zainteresowanie młodych rolników pozostawianiem na wsi. Główną przyczyną tego jest pogarszająca się z miesiąca na miesiąc opłacalność produkcji rolnej. Co prawda toczą się rozmowy między przedstawicielami rządu a Komisją Koordynacyjną przy Krajowym Związku RKIOR, przyniosły już pewne rozstrzygnięcia: osiągnięto porozumienie w sprawie realizacji niektórych postulatów rolników, m.in. dotyczących wprowadzenia zakazu żądania przez państwo przedpłat na maszyny, ciągniki i inne środki produkcji rolnej, zniżenia zmiennej stopy procentowej od udzielanych kredytów, wprowadzenia od sierpnia br. dobrowolnych ubezpieczeń zwierząt hodowlanych. Ale nadal nie osiągnięto porozumienia w sprawie zasadniczej: zapewnienia opłacalności produkcji rolnej i parytetu dochodów wsi poprzez urynkowienie gospodarki rolnej. W tej sytuacji na wniosek Koordynacyjnej Komisji Protestacyjnej przy WZKRIO w Zielonej Górze postanowiono podjąć czynną akcję protestacyjną. Polega ona na wywieśnięciu białoczerwonych chorągiew we wsiach i powstrzymaniu się przez rolników od sprzedaży produktów rolnych państwu. Podobną akcję protestacyjną podjęli rolnicy gorzowski.

Mistrz gospodarności

W Gorzowskim zakończono wojewódzką edycję konkursu „Mistrz Gospodarności”. Po podsumowaniu wyników okazało się, że w grupie „gmin” tytuł „Mistrza Gospodarności” zdobyła Przytoczna, wyprzedzając Stare Kurowo (pierwszy wice-mistrz) i Bogdaniec (drugi wice-mistrz). W kategorii miast i gmin najlepszy był Recz, tytuły wice-mistrzowskie przysługują Stubińcom i Międzychodowowi. Wszystkie wymienione jednostki organizacyjne uzyskały w konkursowej punktacji ponad 1,5 tys. punktów i wspólnie z Kustrzynem, który również osiągnął dobre wyniki w grupie miast, będą reprezentować woj. gorzowskie w centralnym współzawodnictwie o tytuł „Mistrza Gospodarności”.

Budownictwo patronackie

To jedna z szans szybkiego dojścia do własnego mieszkania, szczególnie dla młodych. W woj. gorzowskim w ciągu ostatnich kilku lat w taki właśnie sposób otrzymało je kilkadziesiąt młodych rodzin. Zapracowali na nie solidnie, pracując na budowach własnych mieszkań średnio po 2 tys. godzin. Najwięcej, bo aż 120 lokali wybudowała i zasiedliła Młodzieżowa Spółdzielnia Mieszkańców.

wa w Międzyrzeczu. Przygotowanych do oddania jest tutaj dalsze 31 mieszkań, a na kolejne 100 MSM posiada gotową dokumentację, wskazaną lokalizację, inwestora i przydzielony kredyt. Podobnie MSM w Mysłiborzu oddała w ostatnich latach do użytku 48 mieszkań, zaś następnych 60 powstaje obecnie przy znacznej pomocy członków spółdzielni. Dobrze spisuje się MSM w Stubicach. Z jej inicjatywy wybudowano już 44 lokale, następnych 40 ma być gotowych pod koniec br. W Skwierzynie inwestorem 18-rocznego budynku jest MSM „Las”. W samym Gorzowie z inicjatywy aktywu ZSMP przy Oddziale KPKS adaptuje się kosztom 20 mln zł 12 mieszkań w budynku przy ul. Gwardii Ludowej, zaś przy współpracy z ZWCH „Stilon” rozpoczęto budowę 64 domków jednorodzinnych, z których gotowych już jest 10 o łącznej wartości 45 mln zł. Wszystkie te budowy młodzież wspierała m.in. produkcją materiałów budowlanych.

Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia

Mieszkańcy woj. gorzowskiego wpłacili w ub. roku na konto tego funduszu 169,8 mln zł, o 51 mln zł więcej niż w 1987 r. W przeliczeniu na jednego zatrudnionego w gospodarce społecznej, największe wpłaty w ub. r. wnieśli mieszkańcy Gorzycy, Słońska i Krzeszyc a wśród rolników wyróżniają się gminy Międzychodów, Bogdaniec i Stubice. Na inwestycje w służbie zdrowia ze środków NFOZ w woj. gorzowskim wydano ponad 190 mln zł. Przeszło 53 mln zł przeznaczono na budowę Gminnego Ośrodka Zdrowia w Zwierzyni, którą zakończono w grudniu. W czerwcu br. ma się skończyć budowa przychodni rejonowej w Witnicy, którą wsparło 69,5 mln zł. Podobną przychodnię otrzymają pod koniec br. mieszkańcy Pelczyc — na tę inwestycję przekazano z NFOZ 33,4 mln zł. Trwa budowa placówek służby zdrowia w Kłodawie, Bogdanie i Słońsku, również finansowanych ze środków NFOZ. Z tego samego funduszu społeczny komitet budowy przychodni w Osie Lubuskim otrzymał w ub. r. 8,9 mln zł a GOZ w Bogdanie mógł zakupić aparaturę medyczną za sumę 2,2 mln zł.

Manifestacja ekologiczna

Pod hasłem „Klempicz — stop!” odbyła się w Gorzowie manifestacja przeciwników budowy w Polsce elektrowni atomowych. Manifestację przewodził liderzy Ruchu Młodzi Niezależni, organizacji „Wolność i Pokój” oraz „Solidarności”. Oni też na zakończenie manifestacji odczytali oświadczenia. Dominowało w nich żądanie całkowitego wstrzymania wszelkich prac związanych z budową elektrowni jądrowych. Ich zdaniem wszelkie związane z tym środki należy przeznaczyć na wyposażenie konwencjonalnych elektrowni w urządzenia zabezpieczające przed emisją szkodliwych substancji. Gorzowska „Solidarność” zapowiedziała kontynuację tego rodzaju manifestacji w każdej pierwszej niedziele miesiąca do czasu zrealizowania żądań manifestantów.

Ogólnopolski

Konkurs Pianistyczny

Już po raz dziesiąty odbył się w Gorzowie Ogólnopolski Konkurs Pianistyczny im. Jana Sebastiana Bacha. Jest on adresowany do uczniów szkół muzycznych I stopnia a jego przesłaniem jest głębsze zainteresowanie młodych pianistów obranym kierunkiem nauki oraz spójnością twórczą wielkiego kompozytora — patrona konkursu. Zainteresowanie konkursem było duże. Zgłosiło się 31 uczniów pierwszej grupy wiekowej — do 10 lat, 32 grupy drugiej — od 10 do 12 lat i 10 starszych uczestników do 14 lat. Każdą z grup oceniano oddzielnie. Komisji, w skład której wchodził pedagog z akademii muzycznych w Poznaniu, Katowicach i Berlinie przewodniczył prof. Jan Jański. W pierwszej grupie wiekowej I nagrody nie przysługano, II podzieliły się Justyna Maj z Wrocławia i Agnieszka Ufnal z Poznania, uczennice Maryli Doroby i Barbary Miodynskiej. Równorzędne III otrzymał: Stefan Labanowski z Krakowa, Maria Orawiec z Gdańska i Wojciech Waleczek z Katowic — uczniowie Zofii Wiekierki, Krystyny Marciniak i Ireny Majnusz. Wśród dziewczęciu wyróżnionych jest gorzowianin, uczeń Jadwigi Wieliczko, Wojciech Kawa. W drugiej grupie najwyżej oceniono prezentację Marty Polickiej z Poznania, drugą na grocie otrzymał Hubert Salwaowski z Katowic, trzecią ex equo otrzymali: Edyta Hudziak i Jerzy Stecki z Wrocławia. Ich nauczycielami są Izabella Maloczo-Policka, Anna Działowicz, Maryla Doroba i Janina Buter. Przysługano także 10 wyróżnień. Zaden z najstarszych uczestników nie zdobył I nagrody. Drugą otrzymał Michał Ferber z Wrocławia, uczeń Janiny Buter a dwie trzecie odebrali Jakub Gwarddecki z Wadowie — uczeń Heleny Maszowskiej i Piotr Klajn z Wrocławia, uczeń Romany Lisiewicz. Po raz pierwszy w gorzowskim konkursie wzięli udział uczniowie jednej ze szkół muzycznych w Wilnie. Był to początek szerszej współpracy między pokrewnymi placówkami kształcenia artystycznego w Gorzowie i stolicy Litwy. Ekipa z Wilna uzyskała wyróżnienie: zdobył je Marcin Kuźniecowa i najmłodszą uczestniczką konkursu — Nelli Kazakowa.

Wystawa z okazji

„okrągłego stołu”

Z ciekawą inicjatywą wystąpiło Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze z okazji obrad „okrągłego stołu”. W jednej z sal zorganizowano wystawę obrazów znajdujących się w zbiorach Muzeum. W opracowaniu mgr Mirosława Szczegóły i mgr Wiesława Myszkiewicza złożyły się one na interesującą artystycznie i historycznie uogólnienie losów narodu polskiego, które właśnie teraz na bralo szczególnej wymowy. W czasie prezentowanej przez cały marzec wystawy pokazano wiele prac wybitnych polskich artystów, m.in. Antoniego Fala, Edwarda Dwurnika, Andrzeja Skoczylasa, Józefa Burlewicza, Andrzeja Gordona, Ryżarda Klebka, Anny Ganińskiej-Myszkiewicz — wykonanych w różnych technikach.

wśród których dominowały obrazy olejne i grafiki. Wystawa cieszyła się sporym zainteresowaniem, zwłaszcza młodzieżą.

Olimpiada

Wiedzy Filozoficznej

Udział w tegorocznej Olimpiadzie Filozoficznej był dla wielu jej uczestników, uczniów szkół średnich, pierwszym stopniem filozoficznej edukacji. Znany od lat Konkurs Wiedzy Filozoficznej przybrał w tym roku nazwę Olimpiady. Na czele Komitetu Głównego Olimpiady Filozoficznej stanęli m.in. tacy znani uczeni jak prof. Zdzisław Cackowski, Jan Legowicz, Dionizy Tanalski. Niedawno, w trakcie wojewódzkiej eliminacji Olimpiady w Zielonej Górze, Wojewódzki Komitet OF pod przewodnictwem dr. Liliany Klejżlik zdecydował o wysłaniu na eliminacje centralne ucznia Liceum Ogólnokształcącego w Sułchowie, Waldemara Kuny (opiekunka mgr Bożena Cicha). Oceniane jako trudne, eliminacje wojewódzkie miały część pisemną i ustną. Organizatorzy — Zarząd Wojewódzki Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej we współpracy z Komendą Chorągwi ZHP oraz Kuratorium Oświaty i Wychowania pomyśleli też w trakcie eliminacji o ciekawym filmie wideo i wspólnym pośpiewaniu przy gitarze.

Akcja „Bariera”

31 marca br. rozpoczął się pierwszy etap operacji „Bariera” zorganizowanej przez Główny Urząd Celný, MSW i WOP. Akcja ta ma na celu przeciwdziałanie wywozowi za granicę deficytowych bądź trudno dostępnych towarów, w ilościach wskazujących na cele handlowe. Chodzi przede wszystkim o żywność, zwłaszcza te, która jest dotowana, jak np. mięso i jego przetwory, konserwy, sery i masło. Polscy celnicy już od kilkunastu tygodni obserwowali próby wzmoczonego wywozu tych artykułów do Berlina Zachodniego a także do Austrii i Szwecji. Akcja „Bariera” ma być kontynuowana.

Zaprosili nas:

BWA i ZPAF Delegatura w Gorzowie na otwarcie wystawy fotografii Czesława Łuniewicza; Wojewódzki Ośrodek Metodyki Kultury w Zielonej Górze, LTK, UMiG w Zbąszyniu, Zbąszczyński Ośrodek Kultury na XV Biesiadę Koźlarzską; Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze na otwarcie kolejnej wystawy i spotkanie z Jagem Berdyszkim; KMPiK w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Jacka Spisackiego i zamknięcie wystawy rysunków satyrycznych Juliana Bohdanowicza; Muzeum Karykatury w Warszawie na otwarcie wystawy rysunków Antoniego Chodorowskiego oraz IV Salonu Klubu Miłośników Karykatury MIK — dziękujemy.



Za „Scenami miłosnymi”

Piszę do Was, gdyż chodzi mi o sceny miłosne, drukowane na łamach Waszego pisma, a zwłaszcza — ostatnio — o opis kobiety, która pracuje w wytwórniach produkujących filmy porno. To, co piszecie, to zdecydowanie za mało, bo moim zdaniem powinno być więcej scen erotycznych i pornograficznych, a także — więcej rysunków porno i innych tego typu pozycji. Nie jestem zboczeńcem, jestem żonaty, mam syna (16 lat) i córkę (14 lat), i naprawdę lubię filmy porno czy opisy seksu. Bardzo więc proszę o długie opowiadanie o tej tematyce. Nie zwracajcie uwagi na to, że komuś to się nie podoba, bo jeżeli mi się nie podoba film czy książka, to po prostu — nie oglądam i nie czytam.

Na tym kończę i jeszcze raz proszę o to, co mi się u Was podoba. Serdecznie pozdrawiam.

Stefan Drewniak
Witków II SHR
poczta Siedleborzyce, kod 67-130

LUBUSKIE PERSONALIA

ROBERT GROMADZKI, 1. 26, student III roku historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, po wojsku, kawaler, nie ma narzeczonej, tylko przyjaciółki, autor wydane go przez Lubuskie Towarzystwo Kultury tomiku wierszy „Piąta strona świata”, przygotowuje do druku zbiorek wierszy o Zielonej Górze. „Miało znowu nas urodzić”, niedawno został prezesem Klubu Literackiego LTK i zamierza wspólnie z kolegami aktywnie działać na rzecz kulturalnego rozwoju Zielonej Góry. Hobby: filozofia, historia, poezja, także dobra kuchnia.

ZOFIA KEDZIERSKA, 1. 78 — jej już zmarły mąż, Jan, nauczyciel, jako oficer Wojska Polskiego przez siedem lat przebywał na Syberii, wrócił do kraju w 1952 r. — absolwentka seminarium nauczycielskiego w Złoczowie koło Łwowa, w latach 1929-45 pracowała w szkolnictwie na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie, w okresie okupacji prowadziła tajne nauczanie, pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji. W dniu 28 kwietnia 1945 r. przyjechała do Świebodzina, gdzie do dziś mieszka i do przeżycia na emeryturze pracowała jako nauczycielka, niezwykle aktywna w życiu kulturalnym miasta, opiekunka drużyn harcerskich, opublikowała wiele szkiców i wspomnień m.in. na łamach „Polityki”, „Głosu Nauczycielskiego”, „Nadodrze” oraz

w wydawnictwach zbiorowych, odznaczona Krzyżem Kawalerskim OOP, Złotą Odznaką ZNP, odznaką honorową „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”. Zasłużony Harcmistrz Polski Ludowej, mimo nienajlepszego zdrowia kontynuuje pisanie swoich nie tylko ciekawych wspomnień i spotyka się z młodzieżą. ANDRZEJ SZEWCHYK, 1. 39 — żona Halina, absolwentka technikum chemicznego, pracownik ZPJ „Silwana” w Gorzowie Wlkp. (córka Agnieszka i 10, uczennica Szkoły Podstawowej nr 5, syn Michał lat 5) — absolwent Wyższej Szkoły Ruchu Zawodowego w Moskwie, na którą zakwalifikował się po złożeniu egzaminu konkursowego oraz rocznego kursu w Wyższej Szkole Komunistycznej, także w Moskwie, w

latach 1970-75 m.in. elektromechanik w „Stilonie”, brakarz w ZREBM-ie, w ruchu młodzieżowym w Gorzowie Wlkp., Krośnie Odrzańskim i w Zielonej Górze, po powrocie do Gorzowa w czerwcu 1975 r. kierownik wydziału organizacyjnego RW FSZMP, następnie w WRZZ, w latach 1982-86 w aparacie partyjnym, w dniu 16 listopada ub. roku w tajnym głosowaniu został wybrany przez MRN na stanowisko prezydenta m. Gorzowa Wlkp. Pragnie poprawić warunki socjalne mieszkańców miasta „na miarę” — jak powiedział stolicy województwa, a zasłot ci jest wiele, zwłaszcza w infrastrukturze. Hobby: wędkarstwo, książki historyczne i fantastyczno-naukowe, film, ale nie ma wiele wolnego czasu.

Pewna referentka w Urzędzie Wojewódzkim w Zielonej Górze dostała wysypki na rękach. Myślała: może od rzodkiewek lub truskawek, wszak to czasem się zdarza? Ale wysypka zamiast ustąpić, rozlewała się coraz wyżej: wodnisto-czerwonymi plamami. Mgr Andrzej Zub mówi, że obie ręce trzeba było bandażować. Co się okazało? Pani ta miała uczulenie na czarną kalkę maszynową, ściślej — na zawarty w niej chrom.

Na zielonej łące pasą się barany. Wiosenne słońce mruga wesoło do pani w białym fartuszu, zrywającej fiołki. Sielsko, anielsko. Gdzie? Przy ulicy Jasnej w Zielonej Górze. Ta sielczna łączka i barany należą do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. Ale

wami, automobilizacji, chemizacji — i tak dalej.

Chrom, nikiel, ołów, kobalt. Ten ostatni, poza farbami i lakierami, znajduje się w gumie. Szef działu higieny pracy dr Andrzej Rabenda mówi, że wystarczy minimalna, wprost śladowa obec-

ci manualnych. Palce bledną i bezwładnie, wszystko wypada z rąk. Choroby wirusowej nabywa się pracując przy młotach pneumatycznych i wiertarkach, przy mechanicznych pilach stosowanych w leśnictwie i przemyśle drzewnym, także przy szlifierkach. Na zespół wirusowy zapadają czasem stomatolodzy obciążający na co dzień z aparatami do borowania zębów i technicy dentystyczni, używający wysokoobrotowych szlifierek.

W ubiegłym roku zanotowano nieco mniej, w porównaniu z rokiem 1987, zachorowań na pylice, choroby zakaźne, narządu ruchu i wirusowe oraz nieżyty nosa, gardła i krtani. Za to więcej było w kraju przewlekłych chorób płuc, bronchitów oraz schorzeń słuchu, głosu, wzroku i centralnego układu nerwowego. Po raz pierwszy ujawniono, na razie tylko jeden, przypadek utraty zdrowia spowodowanej pracą w podwyższonym ciśnieniu atmosferycznym.

Choroby zawodowe najczęściej nawiedzają pracowników przemysłu metalowego, hutniczego, włókienniczego, szklarskiego i stolarskiego, służbę zdrowia i nauczycieli, przeważnie osoby w wieku między 40 a 50 rokiem życia. Większą podatność wykazują mężczyźni. Bardziej odporny na złe warunki pracy wydaje się rodzaj żeński. Statystyka wykazuje jednak dużą przewagę kobiet w chorobach narządu ruchu i układu nerwowego.

Dodam do tego informację z własnego podwórka, pasującą do tej statystyki: że grupa zawodowa, która choć nie ma jakiejś „własnej” choroby zawodowej, to od lat wykazuje największą śmiertelność, są dziennikarze. Po prostu wykazujemy się — i tyle, rzadko dożywając sędziwego wieku.

Jest to osobny rozdział, ale żeby dać przyczynę do obrazu stanu zdrowia polskiego narodu, przytoczę fakt stwierdzony ostatnio: otóż jesteśmy pierwsi w Europie pod względem tzw. nadumieralności.

Choroby zawodowe grupowane liczbowo według województw, dają zaskakujące porównania. Najwięcej zachorowań przypada na niezagłębione węgiel czy włókienniczą Łódź, ale na województwo łódzkie przypada najmniej przypadków. W województwie katowickim zajmuje dopiero drugie miejsce, bielskie — trzecie. Najmniej chorób zawodowych zanotowano w r.ub. w województwach ostrołęckim oraz sieradzkim i kościańskim.

Jak powiada dr Rabenda, kłamstwa dzieła się na małe, duże i statystykę. Tutaj się to potwierdza. W województwie stołecznym największe przypadki stwierdzono nie w hucie „Warszawa”, lub w którymś z wielkich zakładów produkcyjnych, ale w... Centrum Zdrowia Dziecka! Województwo zielonogórskie ze swymi 263 przypadkami z ubiegłego roku, przedstawia się gorzej, niż legnickie, w którym wykazano tylko 96 zachorowań!

A przecież województwo legnickie z hutą „Głogów” ogłoszone zostało oficjalnie terenem klęski ekologicznej.

Być może wiele tu wyjaśni materiał badawczy, opracowany przez dyrektora legnickiej Wojewódzkiej Stacji „Sanepid” zapowiedziany w programie mającego się odbyć w dniach 16-18 maja br. w Lubiatowie zjeździe Polskiego Towarzystwa Higienicznego.

ciąg dalszy na str. 4

KATYŃ

Tragedii wspólnej akt trzeci

Tadeusz Sojka

Tło historyczne

(2)

W roku 1923 Polska podpisała pakt Brianda-Kelloga w sprawie nieuciekania się do wojny przy rozwiązywaniu konfliktów międzynarodowych. W dniu 9 lutego 1929 r. podpisany został przez Polskę tzw. „protokół Litwinowa” w sprawie wcześniejszego wprowadzenia w życie paktu Brianda-Kelloga. W roku 1931 podjęte zostały przez Polskę i ZSRR rokowania zakończone w dniu 25 lipca 1932 r. podpisaniem paktu o nieagresji z mocą wiążącą obie strony na przeciąg lat 3. Wcześniej jeszcze, bo w dniu 26 stycznia 1932 r. w Berlinie podpisana została polsko — niemiecka deklaracja o nieagresji, z ważnością na lat 10. W dniu 3 lipca 1933 r. w Londynie podpisany został, przez Polskę, ZSRR i inne państwa, układ w sprawie definicji pojęcia: agresja, a 5 maja 1934 r. w Moskwie, Polska i ZSRR podpisały protokół o przedłużeniu paktu o nieagresji z 1932 r.

Związek Radziecki zagrożony rozwijającą się, z niekorzystnością dla jego przyszłych interesów w Europie, a także na Dalekim Wschodzie sytuacją międzynarodową, przyjmując w 1939 r. propozycję rokowań z Niemcami i w dniu 23 sierpnia 1939 r. dochodzi do podpisania radziecko — niemieckiego układu o nieagresji, z ważnością na lat 10. Niemcy łamiąc zawarty z Polską układ o nieagresji ze stycznia 1932 r. w dniu 1 września 1939 r. uderzają na Polskę.

Zachodni sojusznicy nie podejmują akcji odciążającej i sytuacja Polski staje się beznadziejna.

17 września 1939 r. o godz. 3.00 — nad ranem zastępca Komisarza Spraw Zagranicznych ZSRR Potiomkin, wezwał ambasadora Wacława Grzybowskiego, i wręczył mu notę radziecką, w której stwierdzono, iż wobec klęski armii polskiej rząd radziecki musi przyjąć z pomocą zagrożonej wojną ludności białoruskiej i ukraińskiej. Dlatego też wydał Armii Czerwonej rozkaz „przekroczenia granicy i ucieczki pod ochronę życia i mienia mieszkańców zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi”.

W tym też dniu Armia Czerwona przekroczyła wschodnią granicę Polski, co jak się okazało po latach, ustalone było już w dniu 23 sierpnia 1939. Natomiast w dniu 28 września 1939 między Związkiem Radzieckim a Niemcami zawarty został układ „O przyjaźni i granicach” z tajnym do niego porozumieniem, przewidującym wymianę między tymi państwami jeńców wojennych Polaków, według kryterium miejsca zamieszkania w strefie okupacyjnej. Związek Radziecki zajął terytoria Rzeczypospolitej Polskiej zamieszkałe przez ponad 13 mln ludności, w tym około 4,5 mln Polaków. Zajęte obszary państwa polskiego zostały uznane przez ZSRR jako części państwa radzieckiego, a ludność jako obywateli ZSRR. Uzasadnieniem była teza o upadku i nieistnieniu państwa polskiego.

W wyniku działań Armii Czerwonej w dniu 17 września 1939 r. i po tej dacie, w niewoli radzieckiej znalazło się co najmniej 230 tys. żołnierzy polskich, w tym około 23-25 tys. oficerów. Oficerowie byli w 1/3 czynnymi oficerami armii polskiej, a w 2/3 rezerwistami. Było wśród nich 18 generałów i jeden kontradmirał. W niewoli radzieckiej znalazło się także około 220 tys. funkcjonariuszy policji, administracji, ziemian, nauczycieli, duchownych i innych, zaliczonych do tzw. „aparatu represji”. W dniu 31 X 1939 r., Molotow, na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR, formułuje wypowiedź o upadku „bektarta wersalskiego”. Centralny organ Armii Czerwonej „Krasnaja Zwiezda” z 17 września 1940 r. poinformował, że od 17 września 1939 r. znalazło się na terenie ZSRR 181 tys. jeńców polskich, w tym 10 tys. oficerów zawodowych i rezerwy. Natomiast w dniu 13 kwietnia 1943 r. Kierownik Wydziału Kulturalno — Politycznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych III Rzeszy prof. Six, w informacji przekazanej Biuru Ministra o ujawnieniu masowych mogił oficerów polskich w Katyniu, podaje o 12 tys. oficerów oraz 300 tys. żołnierzy „którzy wpadli w ręce Sowietom podczas zajmowania wschodniej Polski”.

Po aneksji przez ZSRR Litwy (3 sierpnia 1940 r.) i Łotwy (5 sierpnia 1940 r.), w niewoli radzieckiej znalazło się dalszych 1000 oficerów polskich, którzy we wrześniu 1939 r. zostali tam internowani i nie zdołali przedostać się na Zachód.

W dniu 22 czerwca 1941 r. Niemcy, łamiąc pakt o nieagresji z 23 sierpnia 1939 r., uderzyli na Związek Radziecki. Udział ZSRR w wojnie stworzył warunki do powołania szerokiej wojennej koalicji antyfaszystowskiej. Już w dniu 12 lipca 1941 r. podpisany został brytyjsko — radziecki układ o współpracy wojennej, a w ZSRR znalazła się misja USA. Rząd polski nie ignorował znaczenia współpracy z ZSRR dla pozycji Polski na arenie międzynarodowej. Ponadto siły zbrojne polskie na Zachodzie liczyły zaledwie 43 tysiące ludzi, a wpływ na bieg wydarzeń zależał od posiadania liczącego się wojska. Jedyną realną drogą odbudowy armii było pozyskanie ZSRR dla koncepcji rozbudowy wojska polskiego w oparciu o Polaków znajdujących się na terenach ZSRR. Porozumienie z ZSRR w tym zakresie było trudne, bowiem początkowo rząd polski wysuwał, w rokowania z Majskim, jako warunek zawarcia porozumienia, z ZSRR uznanie granicy ryskiej z 1921 r. Warunek ten był dla ZSRR nie do przyjęcia, a i Wielka Brytania wycofała się z uznawania tej granicy. Po długich i momentami dramatycznych (o krok od zerwania) rokowaniach, w dniu 30 lipca 1941 r. podpisany został tzw. Układ Sikorski — Majski, do którego dołączono protokół dodatkowy, który stwierdzał, że „z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych rząd radziecki udzieli amnestii wszystkim obywatelom Polski, którzy są obecnie pozbawieni wolności na terytorium ZSRR, bądź jako jeńcy wojenni, bądź na innych dostatecznych podstawach”. Układ ten — zgodnie z jego postanowieniami — wszedł w życie natychmiast i nie podlegał ratyfikacji. Miał on wielkie znaczenie tak dla kwestii polskiej w II wojnie światowej, jak i dla Polaków znajdujących się w ZSRR.

Po nadaniu w dniu 13 kwietnia 1943 r. przez propagandowy aparat III Rzeszy międzynarodowego rozgłosu odnalezieniu w Katyniu grobów pomordowanych oficerów polskich, rząd polski wystosował w dniu 15 kwietnia 1943 r. notę do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, zawierającą prośbę wysłania do Katynia przez MCK delegacji dla zbadania sprawy na miejscu. W nocie tej stwierdzono także m.in.: „Zarazem jednak Rząd Polski, w imieniu Narodu Polskiego zaprzecza Niemcom prawo do czerpania ze zbrodni, które zarzuca innym, argumentów w obronie własnej. Pełne hipokryzji oburzenie propagandy niemieckiej, nie zakryje przed światem okrutnych, ponawianych i trwających wciąż zbrodni dokonywanych na Narodzie Polskim. Rząd Polski piętnuje wszystkie zbrodnie popełnione na polskich obywatelach, odmawia prawa wyzyskiwania tych ofiar w politycznej grze przez kogokolwiek, kto winien jest tych przestępstw przeciwko Narodowi Polskiemu”.

Nota ta przekazana została w dniu 17 kwietnia 1943 r. do rąk Paula J.A. Ruggera, przez zastępcę przedstawiciela PCK w Szwajcarii Stanisława Radziwiłła. Okazało się wówczas, że godzinę wcześniej, analogiczną w treści notę złożył w MCK delegat Niemieckiego Czerwonego Krzyża.

W dniu 20 kwietnia rząd polski zażądał od ZSRR zajęcia stanowiska w sprawie katyńskiej i udzielenia wszelkich możliwych wyjaśnień.

W dniu 21 kwietnia 1943 r. J. Stalin skierował pismo do W. Churchilla, w którym stwierdził m.in. iż: „do śledztwa włączony został przez rząd p. Sikorskiego jak i przez rząd hitlerowski, Międzynarodowy Czerwony Krzyż, który w warunkach terrorystycznego reżimu z jego zbiegnięciem i masowym tępieniem ludności cywilnej, zmuszony jest do uczestniczenia w tej komedii śledczej, której reżyserem jest Hitler”. Pismo to zawierało także zarzut najcięższy w stosunku do sojusznika: „Okoliczność, że wroga kampania przeciwko Związkowi Radzieckiemu rozpoczęła się równocześnie w prasie niemieckiej i polskiej i prowadzona jest w tym samym duchu — ta okoliczność nie pozostawia wątpliwości, że między wrogiem aliantów Hitlerem, a rządem p. Sikorskiego istnieje kontakt i zмова w prowadzeniu tej wrogiej kampanii”.

Nie pomogło wstawienie Churchilla i Roosevelta, którzy starali się powstrzymać sytuację załagodzić, wskazując na przypadkowy zbieg niekorzystnych okoliczności, który mógł wywołać błędne przekonanie nielojalności rządu polskiego wobec ZSRR. W dniu 26 kwietnia 1943 r. o godz. 0.15 w Kujbyszewie wręczona została Tadeuszowi Romerowi nota rządu radzieckiego o zerwaniu stosunków z rządem polskim. (Fragmenty dokumentów przytoczono za powołaną już publikacją Cz. Madajczyka).

Ponieważ Międzynarodowy Czerwony Krzyż uzależnił swoją obecność w Katyniu od włączenia do czynności dokumentacyjnych przedstawicieli Związku Radzieckiego, Niemcy rozpoczęli i przeprowadzili te prace sami, przez cały czas biegając o możliwie najszerszy w nich udział społeczności międzynarodowej. Nie było to podyktowane, oczywiście, jakimikolwiek odruchami humanitarnymi wobec Polski i Polaków, których Niemcy nieprzerwanie eksterminowali z całą bezwzględnością i okrucieństwem, do zakończenia II wojny światowej. Podstawowym celem, jaki chcieli osiągnąć, było poróżnienie aliantów, stworzenie wylotu w koalicji antyhitlerowskiej. I to im się w części udało.

ciąg dalszy na str. 5

PO CO KOMU TA HIGIENA?

Halina Ańska

wszystko, czego się dowiem, nie jest sieliskie i anielskie.

Po zaawizowaniu się u dyrektora, dr Włodzimierza Janiszewskiego, wchodzi do budynku „C”. Mieści się tu dział higieny pracy, podzielony na cztery sekcje: uznawania chorób zawodowych, szkodliwości fizycznej, szkodliwości chemicznej oraz nadzoru. Tutaj też ma swoją siedzibę zielonogórski oddział, reaktywowanego po latach, Polskiego Towarzystwa Higienicznego.

Pani, która musiała zrezygnować z pracy biurowej, ponieważ nie może dotykać kalki, z którą zresztą, nie będąc maszynistką miała kontakt dość rzadki, nie jest wyjątkiem. Są pracownicy fabryk uczuleni na niklowane narzędzia. Farbiarze chorujący przy farbowaniu sukna na kolejarzy granat. Malarze odchodzący z pracy z powodu uczulenia na lakiery. Piekarze uczuleni na oyl z maki i włókniennicy — na pył z tkanin.

Ten sam chrom, co w kalce, zawarty jest w środkach używanych przy garbowaniu skór. Niektóre garbarnie, m.in. w Lesznie, musiały wycofać garbniki chromowe i przejść na roślinne.

Alergia ma wiele postaci i, podobnie jak na Zachodzie, zaczyna u nas przybierać rozmaite choroby społecznej. Tym trudniejszej do opanowania, bo nie dającej się zbadać od strony przy czynowej. Zdarza się, że człowiek uczulony jest nie wiadomo na co! Oto mamy negatywne skutki ekspansyjnej cywilizacji. Zastępowania zgrzebnymi płóciennymi, świeżych potraw konser-

ność trucizny, by wywołać u człowieka uczulonego przykry skutek!

Zaczęłam od alergii. Ale przecież nie one dominują wśród chorób zawodowych w naszym kraju. Jak wynika z danych statystycznych, na choroby zawodowe zapadło w 1988 r. 9.604 osoby. Listę otwierają uszkodzenia słuchu, stanowiące prawie 27 procent ogółu przypadków. Na miejscu drugim znajdują się choroby zakaźne, wśród których przeważa wirusowe zapalenie wątroby, najczęściej spotykane u pracowników służby zdrowia.

Trzecie miejsce zajmują przewlekłe schorzenia głosu, polegające przeważnie na niedowładzie strun głosowych, spowodowanych długotrwałym wysiłkiem. Jest to choroba nauczycieli. W 1984 r. stwierdzono 576 takich przypadków. Do roku 1988 liczba ich wzrosła ponad dwukrotnie. Ciekawe, że na choroby głosu rzadko skarżą się aktorzy i śpiewacy, choć przecież to oni przede wszystkim pracują tym narzędziem.

Następna w kolejności jest pylica płuc w kilku odmianach: węglowa, azbestowa i, spotykana również w Zielonogórze, spawacza. Dalej — choroby skóry, wśród nich ponad 95 procent mających przyczynę alergiczną. Czynnikiem sprawczym są najczęściej ołów i jego związki, dwusiarczki i tlenek węgla oraz wymienione wcześniej kobalt i chrom.

„Modną” chorobą zawodową jest tzw. zespół wirusowy — z najczęstszą postacią naczyniowo-ruchową, uniemożliwiającą niekiedy wykonywanie czynno-



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Administracja miejska i kościół w Turynie zatrudniły sześciu egzorcystów, którzy uzbrojeni w krzyżyki i święconą wodę, stają do walki z groźnym wrogiem: diabłem.

Wielki, osty, zakrzywiony szpon rozdziera serce, żołądek i jelita. Robi się coraz większy, sięga głębiej i wbiła się w płuca. Człowiek pada na ziemię, młota się, uderza głową o bruk. Jego skóra ma bladą-siną koloru. Wszystko w nim drga, ramiona, ręce i nogi. Zaczyna się obracać — najpierw powoli i nieregularnie, potem coraz szybciej, jak nakręcony bąk. Z zakrzywionych ust dobywa się rżenie. Wreszcie wirujące ciało zwalnia

betonowych wieżowców, leży skrócona wie dwoje „ta kreatura”. Lekarze i psychiatrzy zaniechali już dalszych prób leczenia. Wezwano Dona Saroglię — nie tylko dlatego, że jest on najstarszym i najbardziej doświadczonym kapłanem. Arcybiskup turyński Anastasio Ballestrero jest pewien, że w tę „kreaturę” wstąpił diabeł. A Don Saroglia jest egzorcystą. Nie ma nic wspólnego z czarami. Ksiądz Saroglia Biblię zna na wylot i nigdy nie zajrzał kobiecie pod su-



obrotu. Wzeczpany człowiek nieruchomieje. Jest podrapany, pokrwawiony. Wygląda na nieprzytomnego.

Po długiej chwili twarz jego nabiera kolorów. Szeroko otwarte oczy patrzą tępo przed siebie, a usta zaczynają mówić. Obeym, dziwnym językiem. Może to suahili, może aramejski?

Jeśli kogoś złapie taki atak, znaczy to, że nadziedziczył czas na Dona Ugo Saroglię. W klasztorze w Giaveno dzwoni telefon. Don Saroglia pakuje wszystkie potrzebne rekwizyty, napełnia fiaski święconą wodą, wyciąga Biblię z regału i kładzie, a z szafy fioletową stulę.

Wysoki, białowłosy i zatroskany Don Saroglia gestem ręki pozdrawia szofera i wsiada do czarnej limuzyny. Podczas gdy auto niemal bezgłośnie przemierza okolicę, duchowny siedzi, z głębką zmarszczką na czole, pogrążony w myślach.

Pół godziny jazdy do Turynu, w północnych Włoszech. Tam, w którymś z

kienkę. Jest duchownym godnym zaufania. Swego rzemiosła egzorcysty nauczył się rzetelnie, toteż odnosi sukcesy.

Egzorcysta we Włoszech jest zawodem z przyszłością. Na wygnanieczy diabeł nastała wysoka koniunktura. W samym tylko Turynie zatrudniono oficjalnie sześciu egzorcystów. Wynagrodzenie wypłaca im administracja miasta poprzez kościół katolicki. Inicjatywa powołania tych stanowisk wyszła z turyńskiego ratusza. Postanowiono wreszcie uporządkować „diabelską sprawę”.

Dlaczego szatan uprawia swój proceder w północnych Włoszech bardziej intensywnie, niż gdziekolwiek indziej? Wtajemniczeni wyjaśniają, że zdarzyło się tu dwa spirytystyczne światy. Chodzi o to, że Turyn wraz z Pragą i Lyonem należy do trójkąta miast białej magii, ale równocześnie z Londynem i

San Francisco tworzy trójkąt magii czarnej! W miejscu zetknięcia się dwóch trójkątów powstał „świat zła”.

Papież Jan Paweł II powiedział: „Zło jest na świecie wszędzie i zagraża czołowi wiekowi zwłaszcza wtedy, gdy nie wierzy on we władzę Boga”. Nie tylko wierni wzięli to sobie do serca. Zareagowały także włoskie koła polityczne. Gazety poświęcały „złui” albo „ziemu” tytułowe strony.

Nowoczesny człowiek nie może wierzyć w istnienie diabła — zaprotestował Giorgio Bocca na łamach dziennika „Repubblica”. Ale jak się okazało, był to głos mniejszości. Większość dziennikarzy i komentatorów wspierała stanowisko kościoła wobec sytuacji w północnych Włoszech. Wkrótce już całe Włochy obawiały się diabła.

Dla kościoła demony zawsze były czymś oczywistym. Według Biblii diabeł był kiedyś aniołem. Teraz jako demon próbuje odstręczyć wiernych od Boga. Czyny wiele zła. To on skłania ludzi do wojen. To on namawia ludzi do przemocy, występku i seksu. To on wynalazł AIDS.

Watykan podawał przykłady intensywnej działalności Lucyfera, na przykład w czasie ideologicznego kryzysu, w roku 1969. Papież Paweł VI wyraził wówczas w swej mowie obawę o zagrożenie ludzkości przez pigułkę antykoncepcyjną, którą uznał za dzieło diabła.

Turyńczycy widzą jeszcze inny powód diabelskiej inwazji. Na dwa miliony mieszkańców tylko jedna czwarta stanowią rdzenni Turyńczycy. Pozostała część to przybysze z południa kraju — ludzie niewykształceni, przesadnie i zabobonni, którzy wszystko, czego nie rozumieją, przypisują działalności diabła.

Pewien turyński dziennikarz próbuje tłumaczyć problem w sposób dowcipny: — My Turyńczycy, nie mamy tu ryzykować, nie odwieczają nas turyści, więc przywołujemy diabła, żeby tylko coś się działo...

Wołanie na puszczy

Ciąg dalszy ze str. 1

Chrobrego i Bolesława Krzywoustego, wystarczy przedstawić ich przebieg na ziemiach nadodrzańskich, bo na tych ziemiach one się rozgrywały. Mówiąc o Polsce w okresie rozdrobnienia dzielnicowego, można skupić uwagę na losach państwa śląskiego i Ziemi Lubuskiej, a proces ponownego zjednoczenia państwa polskiego za Władysława Łokietka łatwo zilustrować dążeniami tego króla do rewindykacji utraconych terytoriów (Ziemi Lubuskiej, Śląska, Pomorza Gdańskiego) — na przykładzie wojny z Brandenburgią i Krzyżakami. Troskę Kazimierza Wielkiego o wzmocnienie państwa można wyczerpująco omówić przytaczając plan tego króla związany z wychowaniem jego wnuka Kaźka Szczecińskiego i przygotowywaniem go na swego następcę, co oznaczałoby objęcie przez Polskę poprzez Wartę ujść Odry i Szczecin. I tak po kolei punkt po punkcie w każdej epoce aż do czasów najnowszych łatwo znaleźć styczność dziejów Środkowego Nadodrza z historią Polski.

Jeszcze kilka takich przykładów: wyprawa szlachty wielkopolskiej na Nową Marchię w r. 1656 i ułask w Sulejów, napad pruski na klasztor w Paradyżu w 1740 r., obrona Kargowej przez kpt. Więckowskiego w r. 1793, echa powstania Kościuszkowskiego nad Odrą itp.

Aby jednak w ten sposób zrealizować swój podstawowy obowiązek zapoznania uczniów z historią ich macierzystego regionu, trzeba spełnić jeden jedyny warunek. Trzeba samemu dobrze zająć się tą historią. Czy w obecnym stanie naszej wiedzy o tym regionie jest to możliwe? Jest to nader proste. Bibliografia prac o naszym regionie jest już tak duża, że tylko sięgać do bibliotek i wzbogacając swą wiedzę historyczną przekazywać ją swoim uczniom. Do tego jednak potrzebna jest dobra wola i zrozumienie roli nauczyciela historii, który nie może być biurokrata, odajkowskim mijane godziny swych zajęć. Dopóki nie zostanie przełamana najgorsza postawa, z jaką, niestety, od lat stykamy się u nauczycieli — obojętność — mowy być nie może w po prostu stanu rzeczy. Myślę, że o wiele korzystniej jest mieć do czynienia z przeciwnikiem, ale mającym jakieś zdanie o interesujących nas problemach niż z człowiekiem którego nic nie interesuje i nic nie ciekawi.

Swieżo mam w pamięci zajęcia z absolwentami historii na studium poddyplomowym, na którym zaplanowano 40 godzin (kurs trwał ok. sześć miesięcy) zajęć odnoszących się do historii regionu. Bacznie obserwowałem reakcje moich słuchaczy na przekazywaną im wiedzę. Obserwacje te doprowadziły mnie do arcyśmutnej konkluzji, którą bez skrępowania wyraziłem: moi państwo uważam, że zmarnowałem z wami wiele godzin, bo okazało się, że dla was o wiele ważniejszy jest papierek po ukończeniu studium, dający wam podwyżkę jednego, może dwóch tysięcy złotych niż przyswojenie sobie wiedzy o regionie.

Domyślam się jaką, przynajmniej nie którzy nauczyciele, mogą mi dać na to odpowiedź, że m.in. sytuacja nauczyciela jest wyjątkowo trudna, że za wiele się od niego wymaga itd. itd. To wszystko prawda, ale równocześnie jest tak że prawdą, że jeśli, ze względu na wyjątkowe trudności i swoiste uposiedzenie zawodu nauczycielskiego, komuś ten zawód nie odpowiada, nikt go siłą w nim nie trzyma. Jeśli już jednak po zostaje, to dlaczego ma z tego powodu

cierpieć młodzież? A młodzież opuszczająca szkoły średnie i nie posiadająca prawie żadnej wiedzy o swym regionie, jak najmniej winna jest takiemu stanowi rzeczy. Tylko wyjątkowy uczeń szkoły średniej sam, ze swej dobrej woli, zdobywa podstawy wiedzy historycznej o regionie. Miałem okazję przekonać się o tym wielokrotnie przy egzaminach wstępnych na zielonogórską WSP, gdy na najbłahsze pytanie do tyczące np. dziejów Głogowa, Świebodzina lub Zielonej Góry z reguły nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Kto jest odpowiedzialny za ten stan rzeczy, chyba nie trzeba mówić.

Dopóki nauczyciele historii — oni przede wszystkim — nie zrewidują swego stosunku do problemów regionalnych, dotąd nawet marzyć nie można, aby się cokolwiek miało zmienić. Nikt od nauczycieli nie wymaga prowadzenia badań naukowych, do tego jest już dziś wielu samodzielnych pracowników naukowych, ale wyłącznie i tylko zapoznanie się z wynikami tych badań i uczciwego ich przekazania swoim uczniom. Niczego więcej nikt nie wymaga! Czy to przekracza możliwości nauczycieli? Na pewno nie! Niech mi wybaczą ci, niechętni nauczyciele, którzy świadomi swej łączności z najbliższą ich ojczyzną, z jej przeszłością i związkami z historią Polski, mówią o tym młodzieży. Jest tych nauczycieli — zarówno w szkołach podstawowych jak i średnich — tak niewielu, że ich trud jest prawie niedostrzegalny w ogólnej bez trosce i obojętności niemal powszechnej nie panującej.

Reasumując moje zapewne cierpkie uwagi adresowane wyłącznie do tej większości nauczycieli, jak ich nazwałem — obojętnych, pragnę jeszcze dorzucić — poza podstawowym obowiązkiem przekazywania wiedzy historycznej o regionie istnieje wiele innych sposobów ścisłego związania ucznia z jego najbliższą ojczyzną, a więc miastem, osiedlem lub wsią. Służby mogą temu celowi dobrze zorganizowane wycieczki pozwalające zetknąć się z interesującymi zjawiskami przyrody i geografii lub z zabytkami (tu już jest niezbędna wiedza historyczna). Czego nie dostrzegamy, gdy mamy na myśli wpływ nauczyciela w procesie wychowawczym, a więc przygotowującym młodego człowieka do życia obywatelskiego, a zatem społecznego, nie obojędnego się bez wiedzy historycznej.

Czy bliższe zainteresowanie się regionem grozi nam zaściankowością, parafianstwą czy prowincjonalizmem? Czy pielęgnując problematykę regionalną o charakterze nowoczesnym, a więc nie koncentrując się — jak to niegdyś rozumiano — na podtrzymywaniu folkloru ludowego, skończymy na odczynie się od spraw ogólnonarodowych, zamknijemy się w ciasnych opłotkach spraw małych, nieistotnych, nie mogących wywierać wpływu na poszerzenie horyzontów, czy mówiąc jeszcze dokładniej wyobaczamy się z własnego narodu i zatracimy związek z wielką naszą ojczyzną? Nie takiego nam nie zagraża. Przecież nikt nie żyje — najkonsekwentniejszy nawet wróg regionalizmu — w całym kraju, nikt nie ma bezpośredniej styczności z całym narodem. Każdy, jako członek mniejszej społeczności, żyje i działa, mniej lub więcej aktywnie, w ograniczonym kręgu ludzi, na określonym terytorium, a zatem w jakimś regionie. Tej prawdy nie da się podważyć, a stwarza ona dodatkową argumentację o dużej doniosłości regionalizmu, jako sła rzeczy najbliższej rzeczywistości, w której człowiek żyje.

W słusznym dążeniu do ukazania procesu dziejowego pozbawionego uprawiania nie tak dawno jeszcze zakłamania, podtrzymywanie więzi z najbliższą ojczyzną, ukazywanie jej losów historycznych w całym majestacie prawdy, stanowi wstępny warunek wychowania młodego człowieka w duchu prawdziwego patriotyzmu. A jego cechą jest zawsze miłość do wszystkiego co własne, a szacunek do wszystkiego co obce.

WŁADYSŁAW KORCZ

Ciąg dalszy ze str. 1

— Zdecydowanie jestem przeciw emigracji. Zła sytuacja ekonomiczna — było by nie powinna być podstawą wyjazdów z rodzinnego kraju. To jest pójskie na łatwiznę. Należy pamiętać, że to jest nasza Ojczyzna — kraj naszych przodków. Powinniśmy tutaj czuć się jak u siebie w domu. Jeżeli coś nie jest zgodne z naszym wyobrażen-

nym, niezaspokojonym, zmęczonym człowiekiem, z zawodu elektrykiem.

— Na podstawie pana wypowiedzi mam wrażenie, że jednak często nie jest pan sobą, że chwilami chce kogoś kłopotować...

— Zapewniam, że jestem całkowicie sobą. Nie wierzę, żeby można było po wieloletnim byciu przy tym człowiekiem ukształtowanym przez życie, przez liczne doświadczenia. Nie wierzę również w żadną niekończącą się doskonałość ludzką, ideał, który byłby w stanie

— Zdecydowanie, czuję się człowiekiem szczęśliwym, ale pod kątem, że idę do szczęśliwości. Już niebawem...

— Co to znaczy, już niebawem? Czy wróży pan sobie krótkie życie, czy też obawia się pan czegoś?

— Wyrok śmierci, który ostatnio otrzymałem, przewidziany był na 28 lutego. Ale niczego się nie obawiam, wszystko odbędzie się tak, jak jest mi przypisane.

— Kto ten wyrok na pana wydał?

— Ludzie. Nawiedzeni, czasami mądrzy...

— Niedawno odwiedziła pana grupa Francuzów, która chciała wiernie pana sportretować, ażeby móc w Paryżu po sławić pana pomnik. Czy często spotyka się pan z tego rodzaju przedsięwzięciami?

— Niestety, często ludzie nie orientują się chyba, że nie mam na to czasu. Nie wiem, czy pan widział, ale z tą, i nie tylko z tą grupą, obszedłem się dość obcesowo. Po prostu nie przyjąłem ich. Jestem osobą poważną i nie życzę sobie tego rodzaju przyjemności.

TAKI JESTEM

niem, jakieś zjawisko budzi naszą niechęć, to powinniśmy je zmienić, dążyć do porządku. Mamy wszelkie predyspozycje, ażeby Polska dorównała, a może nawet przegoniła ekonomicznie inne kraje, bowiem Polska jest bardzo bogata pod względem bogactw naturalnych. Znajdujemy się w środku Europy, mamy społeczeństwo rozumne, wrażliwe, aktywne i ambitne.

— Sądzi pan, że polskie społeczeństwo nie różni się zasadniczo od innych?

— Polskie społeczeństwo ma jedynie gorzej pod względem bytowym. Ale jeżeli tylko będzie chciało, to jest zdolne stanąć mocno na obu nogach. Wszystko od nas zależy.

— A gdyby musiał pan określić aktualny poziom społeczny...

— Poziom społeczny to bardzo rozległe zagadnienie. Tak jak już kiedyś powiedziałem, Polacy w wielu dziedzinach, poziomach dominują. Mamy wspaniale rozwiniętą moralność, którą dziedziczymy po przodkach — religijność, wiarę. Proszę zwrócić uwagę, jak wspaniale reprezentuje te dziedziny nasz rodak, papież Jan Paweł II, który jest moim autorytetem. Gdybym miał cokolwiek analizować, to wydałbym mi się, że na czynnikach moralnych, powinniśmy budować elementy ekonomiczne i inne.

— Panie Lechu, gdy ostatnio rozmawialiśmy, zadawałem panu pytanie, czy czuje się pan „wielkim Polakiem”, pan natomiast zgrabnie wykręcił się od odpowiedzi.

— Nie potrafię, nie mam odpowiedzi na to pytanie. Nie wiem, co znaczy dzisiaj być „wielkim Polakiem”. Myślę, że trudno być obecnie „wielkim Polakiem”. Uważam, że przyczyna tkwi w dużej mierze w sferze moralnej i etycznej, bowiem każdy człowiek, jeżeli tylko posiada dobrze rozwiniętą świadomość, może być wielką osobowością. W każdym człowieku widzę wielkość i możliwości. Niestety, nie zawsze należycie wykorzystane.

— W każdym człowieku dopatruje się pan wielkości i możliwości. Czego zatem dopatruje się pan u siebie?

— Myślę, że jest wielu ludzi wspanialszych ode mnie. Jestem zwyczaj-

nie, pomieścić wszystkie pozytywne, który na każde pytanie miałby gotową odpowiedź. Jedynie Pan Bóg jest niekończącym się ideałem.

— W naszej rozmowie często przewija się określenia: moralność, wiara,



Z Lechem Wałęsą na plebanii kościoła św. Brygidy w Gdańsku

religia. Mówi pan o swoim papieskim autorytecie, o Panu Bogu, jako niekończącym się ideałem, poza tym bezustannie nosi pan w kłapie marynarki, obok symboliki „Solidarności”, wizerunek Matki Boskiej. Jaką rolę pełni w pańskim życiu religia, wiara?

— Religia, wiara pełni w moim życiu bardzo znaczącą rolę. Jestem człowiekiem głęboko wierzącym. Natomiast jeżeli chodzi o wizerunek Matki Boskiej to oczywiście nie oznacza, że jestem choinką, przyozdobioną bombkami. Nigdy też nie śmiałyśmy sam sobie tego wizerunku założyć. W 1980 roku, w czasie strajków, z Jasnej Góry przyjechała pielgrzymka z poświęconym specjalnie dla mnie przez Prymasa Wyszynskiego wizerunkiem Matki Boskiej. Wówczas mi ten symbol przypięto.

— Czy czuje się pan człowiekiem szczęśliwym?

— Nie tylko pomnik chcą panu stawiać, ale również pisać o panu książki. Gdy ostatnio byłem u pana, widziałem na biurku książkę — „Lech Wałęsa”, w języku hiszpańskim...

— Książka o mnie ukazała się w piętnastu językach. Powiem panu w tajemnicę, że istnieje nawet wódka — „Lech Wałęsa”. Wiele rzeczy firmuje Lech Wałęsa, często bez mojej zgody, a nawet wiedzy.

— A więc międzynarodowa sława, legenda za życia...

— Nie mam czasu o tym myśleć, będę wspominał to wszystko jak dotrąm do emerytury. Obecnie żyję w pedzie. Przykładowo dzisiaj o godzinie 13.00 przyjechałem z Warszawy, o 14.00 miałem konferencję prasową, po niej spotkanie z panem, potem dalsze obowiązki. Tak wygląda mój przeciętny dzień.

Rozmawiał
BOGDAN KUNCEWICZ

PO CO KOMU TA HIGIENA?

Ciąg dalszy ze str. 3

Jak mówi inż. Edmund Sochacki — prowadzący sekcję nadzoru higieny pracy i będący społecznym wiceprezidentem zielonogórskiego oddziału PTH, będzie to „zderzenie praktyków z teoretykami”. Oczywiście dla wspólnego ustalenia co robić, byśmy mogli żyć czystiej i zdrowiej.

W województwie zielonogórskim wśród chorób zawodowych, podobnie jak w całym kraju, przodują schorzenia układu oddechowego. Ciężkość choroby zależy od czasu, przez który pracownik był narażony na działanie pyłu, dymu, gazów, par, ciepła, przy wysokim przekroczeniu dopuszczalnej granicy hałasu.

Każdy zakład obowiązany jest zapewnić pracownikowi takie warunki pracy, które nie zagrażają jego życiu i zdrowiu. Pilnują tych spraw specjalne służby „bhp” i społeczne komisje. Mimo to warunki w wielu zakładach są bardzo szkodliwe, nie tylko z powodu braku szczotki, ścierni i mydła...

Groźną budzą stwierdzenia kontrolerów „Sanepidu”: ludzie często sami nie chcą pracować w warunkach lepszych! Zdarza się, że celowo niszczą i blokują urządzenia wentylacyjne! Dlaczego? Po nieważ za pracę w warunkach szkodliwych dla zdrowia należy się dodatek... Na pierwszym miejscu „Zastal”, na drugim Wydział Oświaty i Wychowania UM w Zielonej Górze, na trzecim nowosolski „Dozamet” wspólnie z Zakładami Mięsnymi w Przylepie. Miejsce czwarte zajmują Zakłady Przemysłu Bawełnianego oraz Wydział Oświaty i Wychowania w Zarach, piąte — Dolnośląskie Zakłady Odlewnicze w Szprotawie i Zielonogórski Wojewódzki Zakład Weterynarii. Oto czołowi „producenti” chorób zawodowych w roku 1988!

Mówię: co z tego, że przed paru laty, na wniosek zaprzyjaźnionego ze mną on-

kologa, wyrzuciłam z kuchni płytkę azbestową, skoro i tak każdego dnia, chcąc żyć, wprowadzam sobie do płuc porcję azbestu?

Samochody produkowane w Polsce mają azbest w układach sprzęgła i hamulca. Gdy kierowcy na skrzyżowaniach hamują, z fasonem piszcząc oponami, następuje prawdziwa inwazja rakotwórczej Stwierdzono już bowiem ponad wszelką wątpliwość, że azbest działa wybitnie rakotwórczo, jeżeli dostaje się do organizmu drogą oddechową. Co do azbestu przyjmowanego drogą pokarmową, takiej pewności podobno nie ma, ale...

Mieszkańcy Zielonej Góry w obrębie starego miasta piją wodę z rur ołowianych. Smaczne! Natomiast po nowych osiedlach woda rozchodzi się rurami azbestowo-cementowymi. Też dobrze! Ołów, azbest — i cichnąca, mętna woda, zawierająca jeszcze Bóg wie co. Jak to się dzieje, że jeszcze żyjemy?

Dr Rabenda powatpiewa w celowość publikacji takich jak ta. Po co ludzi straszyć? Przecież i tak muszą pracować, żyć, chodzić, pić, jeść, oddychać. A „Sanepid” czy się pisze o nim czy nie, i tak robi swoje. Mgr Zub, specjalista od szkodliwości chemicznych, mówi o sukcesie. Oto w Zakładach Mięsnych w Przylepie udało się całkowicie wyeliminować brucellozę Zachorowania, które trafiają się dziś, pochodzą jeszcze ze starych zakażeń. Zakażeń nowych nie ma od 1982 roku.

Słowo „higiena” pochodzi od greckiego „hygienos”, co znaczy zdrowie, zdrowotny. Jest to nauka o wpływie środowiska na organizm ludzki. W potocznym języku oznacza czystość. Znaczenie tego słowa, jak gdyby świeżo wyjętego ze sterylizatora, staje się coraz bardziej szerokie i pojemne, w miarę jak za sprawą człowieka, świat wokół zanieczyszcza się i choruje. Dookoła pełno skażeń: w powietrzu, wodzie, ziemi, w tym czego dotykamy.

Trudno, to powiedziec muszę: że nawet nasza pocziwa margaryna zawie-

ra odrobinę niklu, podobno niezbędne dla zachowania odpowiedniej konsystencji!

A więc bomba wodorowa nie jest jedynym niebezpieczeństwem zagrażającym ludzkości. Jeśli nie nastąpi „day after” w sposób nagły — a wierzymy wszyscy, że nie nastąpi, to nadejdzie powoli! Jest to nieuchronne, jeśli się człowiek nie opamięta. Chorują jednostki, więc chore robi się całe społeczeństwo. Mamy więcej rencistów — tych z chorobami zawodowymi, niż zasłużonych, zdrowych emerytów!

„Palenie zabronione” — stwierdza kategoicznie wywieszka w gabinecie dr Rabendy. Pytam: jak żyć — w dostateczny sposób higienicznie?

Dr Rabenda robi mały wykład. Zaczyna od ergonomii. Każdy człowiek co dzień powinien zmęczyć się programowo przy gimnastyce, sporcie, bieganiu. Na Zachodzie ludzie biegają, ćwiczą aerobik, w Chinach i Japonii powszechne są ćwiczenia fizyczne podczas przerwy w pracy. Coś w tym jest.

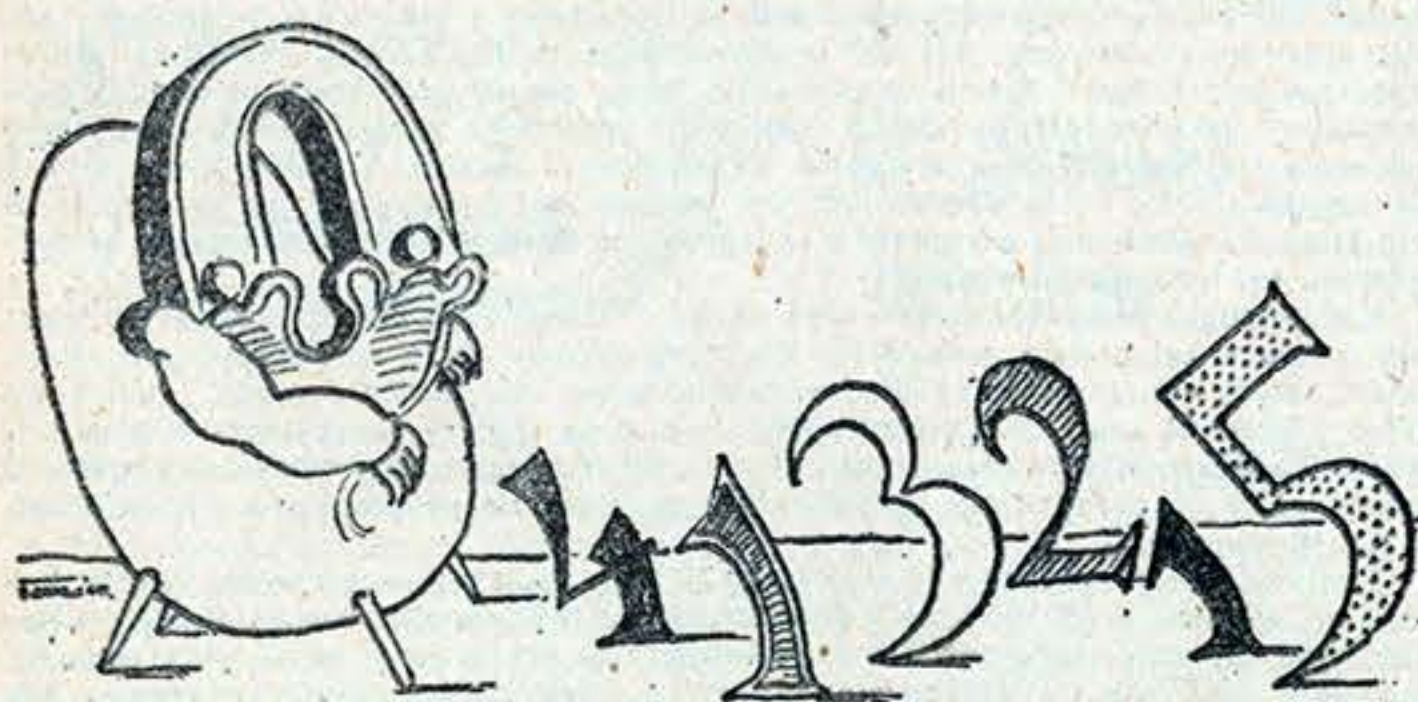
Za to nasz dzień powszedni przebiega na ogół bez prawdziwego wypoczynku, takiego, który zapewniłby organizmowi zachowanie równowagi. Najpierw wysiłek w pracy zawodowej. Potem się dzień przed telewizorem. Nikotynizm — doprowadzony już do szaleństwa (je steśmy największymi palaczami tytoniu na świecie), alkohol, brak ruchu.

Gazety piszą o służbie zdrowia „cho-rej” na niedostatki. Ale ta służba zdrowia, gdyby była nawet najbogatsza z bogatych, z milionami jednorazowych strzykawek, szpitalami pełnymi łóżek i aptekami pełnymi leków, to przecież ma ona służyć tylko chorym! I sama nie jest w stanie poprawić zdrowia narodu, które, o czym wiemy — jest fatalne, jeśli nie będzie działała prozdrowotnie!

Niech każdy zacznie od siebie. Jadać chudo, nie pić alkoholu, nie palić papierosów, uprawiać sporty.

Dyrektor Instytutu Medycyny Pracy prof. Indulski radzi: „Mówić krótko, pracować wydajnie, odpoczywać w ruchu”. Dr Rabenda prosi bym dodała: ale nie świadomość zagrożenia, unikanie stresu, gdyż ten stan psychiczny może być początkiem każdej choroby ciała, także tej, określanej mianem choroby zawodowej!

Halina Ańska



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

Umówiliśmy się z Leonidem w Bielajewo. Po-
stanowiliśmy pójść do jednej z restauracji, tu,
niedaleko i porozmawiać o kilku interesujących
mnie sprawach. Miejsce zajęliśmy przy barze.
Obok sala restauracyjna. Kostia, rosły barman,
podał nam kawę po turecku i papierosy. Obok
nas przewiali się wciąż jacyś ludzie. O paru z nich mój
rozmówca powiedział, że to członkowie panoszącej się tu-
taj szajki. Ze względu na jego lekceważący, niedbały ton
nie przyjąłem tego zbyt serio. Tamci, którzy przyszli po
pewnym czasie, należeli z kolei do innej paczki. Leonida
zdziwiło ich pojawienie się tutaj. Z sąsiedniej sali dosły-
śmy po chwili gromkie odgłosy i trzask łamanego krze-
sia.

— Zaczęło się, tak myślałem, że długo nie zagrzejemy tu
miejscu... Jedni chcą wejść na pole innych. Dochodzi do
starć.

— Nie rozumiem, Leonid.

— Każda mafia ma tu swój rewir, swoje pole działania.
Gdy inni starają się to zmienić, rozpoczynają się bóje. Po-
spieszymy się, zaraz będzie tu gorąco. I gliny przyjadą. Do-
cholery, schowaj ten aparat, chcesz dostać za pierwszym
zakretem po głowie?...

Przez tylną drzwi wychodzimy z zadymionej knajpy. Kos-
tia, były mistrz Europy w boksie wagi koguciej, obecnie
przysadzisty, krępy mężczyzna pośpiesznie pokazuje nam
drogę. Na pracę barmana nie narzeka. Ponad siedemset rubli
w każdym miesiącu. Liczą się tu z nim. Dla swoich
stałych klientów zawsze ma coś lepszego w zanadrze. Kon-
iak armeński, marlboro, kawior. Ale taki to co najmniej
dwudziestkę piątkę napiwku zostawi. Kostia żegna się z
nami i biegnie z powrotem. Jego pomoc okazała się na miej-
scu niezbędna. Wozy milicyjne właśnie zaczęły nadjeżdżać.

Pospiesznie wsiadamy do taksówki. Jedziemy do centrum,
na Arbat. Leonid zna tam pewne spokojne miejsce. Usią-
dziemy i porozmawiamy.

Oczywiście, że nie zawsze trafiają się dolarowcy, ale jeśli
już, to w grę wchodzi jedynie ci nadziani. Placą po trzystu
rubli. Panienki są pierwszej kategorii.

Tu w Moskwie dzieli się je na cztery kategorie. Te z
pierwszej idą za walutę i grube ruble. Działają głównie w
drogich hotelach. Druga kategoria: od stu do dwustu rubli,
i automatycznie tańsze hotele. Obsługują krajowych „czar-
nomazów” — tych z republik zakaukaskich. Te z trzeciej
zadają się głównie z Murzynami. Kręcą się koło instytutu
im. Patrice'a Lumumby. Przychodzą tam na dyskoteki, spa-
cerują obok akademików. Wyróżnia je to, że się nie spieszą.

— Wiesz przecież, jakie tempo panuje w Moskwie...

Ludzie pędzą przed siebie jak gdyby w tym właśnie zna-
leźli sens swojego życia. Niedawno podeptano w metro jakąś ko-
bietę. Złamano jej w ścisną rękę, a potem mówili o tym
w formie ostrzeżenia przez megalofony na każdej stacji.

— Ale wracając do naszego tematu... No i ta czwarta, wszel-
ki lumpen.

Te najtańsze są na dworcach, w brudnych dzielnicach,
obskurnych domach. Idą za pięć, dziesięć rubli plus butelka
wódki na wspólną zabawę.

Według Leonida wcale tego nie robią z przyjemnością.
Traktują to jako pracę i to wcale nielekka. Tyle, że dostają
za nią godziwe pieniądze. Gdzie indziej nie zarobiłyby tak
dużo i nie żyłyby tak dostatnio. Mówi oczywiście o swoich
dziewczynach. Każda z nich ma swojego faceta. Nie, nie ma-
ją nic przeciwko. Liczy się szmal. Wiecznie nie będą prze-
cież tego robić. A do tego momentu przynajmniej material-
nie zdołają się w życiu ustawić. Jedną z jego znajomych
niedawno z tym skończyła. Wyszła za mąż, urodziła dzie-
cko...

Leonid zajmuje się sutenerstwem od pięciu lat. Dyspo-
nuje niezłym kapitałem. Jest opanowany i ostrożny. Uwa-
ża się za fachowca w swojej dziedzinie.

W miesiącu, w jego rewirze bywa średnio 20-25 za-
chodnich miłośników rozrywek cielesnych. Ma przy sobie



— Jeśli nie masz znajomych w knajpach, w takie wie-
czory jak ten możesz sobie tylko pomarzyć, aby zabrać swo-
ją dziewczynę na dancing. Nie ma żadnych szans. Wszędzie
trzeba mieć wejścia i wszystkim trzeba płacić.

Przyjechaliśmy. Otwiera portier. Leonid wita się z nim,
wsuwając w mankiet jakiś banknot. Stoję pokornie parę
metrów dalej. Portier oddalił się. Po chwili przychodzi jak-
śś blondynka, bardzo jaskrawo umalowana. Witają
się z kurtuazyjną serdecznością, rozmawiają chwilę, po czym
blondynka z wyszczerzonymi zębami prowadzi nas do nie-
wielkiej sali. Wskazuje na stolik obok dużej palmy, i nie
przestając szczerzyć zębów odchodzi.

— To Walentyna Iwanowna — mówi Leonid, — dyrek-
torka tego lokalu. Kiedyś była śpiewaczką operową. Teraz
już nie śpiewa. Chyba, że jej humor dopisze... Daje wtedy
pokaz swych umiejętności wokalnych i tanecznych gościom
restauracji. Wszyscy się wtedy bardzo dobrze bawią i...du-
go takiego wieczoru nie zapominają. Walentyna Iwanowna
ceni sobie dobrą zabawę. Lepiej pracy nie mogła sobie
znaleźć, i wesoło, i tysiączek w każdym miesiącu skapnie
do kieszeni.

— Ile zarabiasz miesięcznie? — pytam Leonida.

— Powinnaś zapytać raczej ile tracę. Byłoby bardziej
dyrekcyjne.

Zgodził się pokazać mi nieco nocne życie w Moskwie.
Tego nie można zobaczyć i ocenić w przeciągu paru go-
dzin. Tak, na zewnątrz, wszystko wygląda inaczej, spokoj-
nie. Autobusy, tramwaje, metro. Wszyscy siedzą i czytają,
czytają, czytają...

— No tak, ale ja chciałabym porozmawiać z tobą o...
Właśnie podszedł kelner.

— Witaj, Sieriożo, co słychać?

Leonid zamawia sto tysięcy rzeczy. Sierioża pracował kie-
dyś w KGB. Dostał nawet medal za odwagę. Uratował ja-
kieśgo człowieka w czasie pożaru, ale nakryli go, gdy brał
lapówkę od zabobnego Gruzina, który przyjechał do Moskwy
upłynnić towar. Sprzedają tu mandarynki i kwiaty z wła-
snych plantacji. Sierioża mógł się w końcu podzielić. Sie-
dem tysięcy rubli to wielka sumka. Ale on chciał zagarnąć
wszystko dla siebie. Skapstwo go zgubiło. No i wylał chło-
paka z pracy. Teraz zresztą też nieźle mu się powodzi. Ma
swoich stałych klientów, którzy nie skąpią grosza.

Leonid częstuje mnie papierosem. Sierioża podaje zesta-
wy sałatek i koniak. Za chwilę będą chaczapuri — jakieś
gruzińskie danie.

Do Leonida udało mi się dotrzeć poprzez znajomego, który
miał znajomego, a ten z kolei miał jeszcze jednego znajomego.
Zgodził się porozmawiać ze mną o swoich „dziewczynach”. Ta
jego własna ma na imię Swieta i do nich nie należy. Jest
blondynką o niebieskich oczach. Zdradza ją czasami z któ-
rąś ze swojej „ekipy”.

— Jak one cię traktują?

— Nie myślisz chyba, że jak tatusia, który dba o posag
dla każdej z nich.

Jest ich alfonsiem. Wynajduje klientów, załatwia bazę,
opłaca hotel, wymienia walutę... bo „firmowcy” placą wa-
lutą. Panienki Leonida zadają się głównie z takimi. Dwie-
ście dolarów za noc. Na moje zdziwienie Leonid gestem
człowieka pewnego siebie rozkłada ręce.

— Drogo? Rosja to dla nich pewnego rodzaju egzotyka.
Przyjeżdżają tu tacy naiwni, wierząc w nieustającą poezję
rosyjskiej duszy. Myślą, że niczym się nie różni od to-
lstojskich bohaterów, chłop rosyjski, wieczna tęsknota i
tak dalej. Jeden to nawet bardzo by nie pocieszony, iż nie
udało mu się w Moskwie na ulicy spotkać niedźwiedzia...

Tak więc podsyłamy im swoje dziewczyny i tylko dlatego,
że znajdują się w Rosji, a nie gdzie indziej, każemy drogo
płacić. I placą. W końcu przyjeżdżają tu po to, aby się za-
bawić i podnieść kawioru... Liczą się też kosyty. Każdemu
trzeba zapić od portiera począwszy, na dyrektora skoń-
czysz.

Waluta sprzedawana jest „konikiem” jeden do siedmiu,
a ci wymieniają ją dalej u Polaków jeden do dziesięciu.
Panienka dostaje połowę po odliczeniu wszelkich kosztów.
Leonid opiekuje się pięcioma, pokazuje ich zdjęcia. Ładne
dziewczyny. Wszystkie z Moskwy. Urządzone, mieszkania,
meble, zachodnie ciuchy, kosmetyki... „Samochoody? Po co?..
Firma ma swojego taksówkarza. Zawsze gdzie trzeba. A tak
władze mogą się jeszcze przyklepić o nieuzasadnione
dochody.

— Ale oficjalnie musicie być przecież gdzieś zatrudnieni.

Okazuje się, że jestem nałwa, bo czegoż to nie można
załatwić za pieniądze.

zdjęcia dziewczyn. Czasami pomagają mu w tym znajomi
kelnerzy, barmani. Zresztą sam potrafi doskonale ocenić
gościa. Lata praktyki robią swoje.

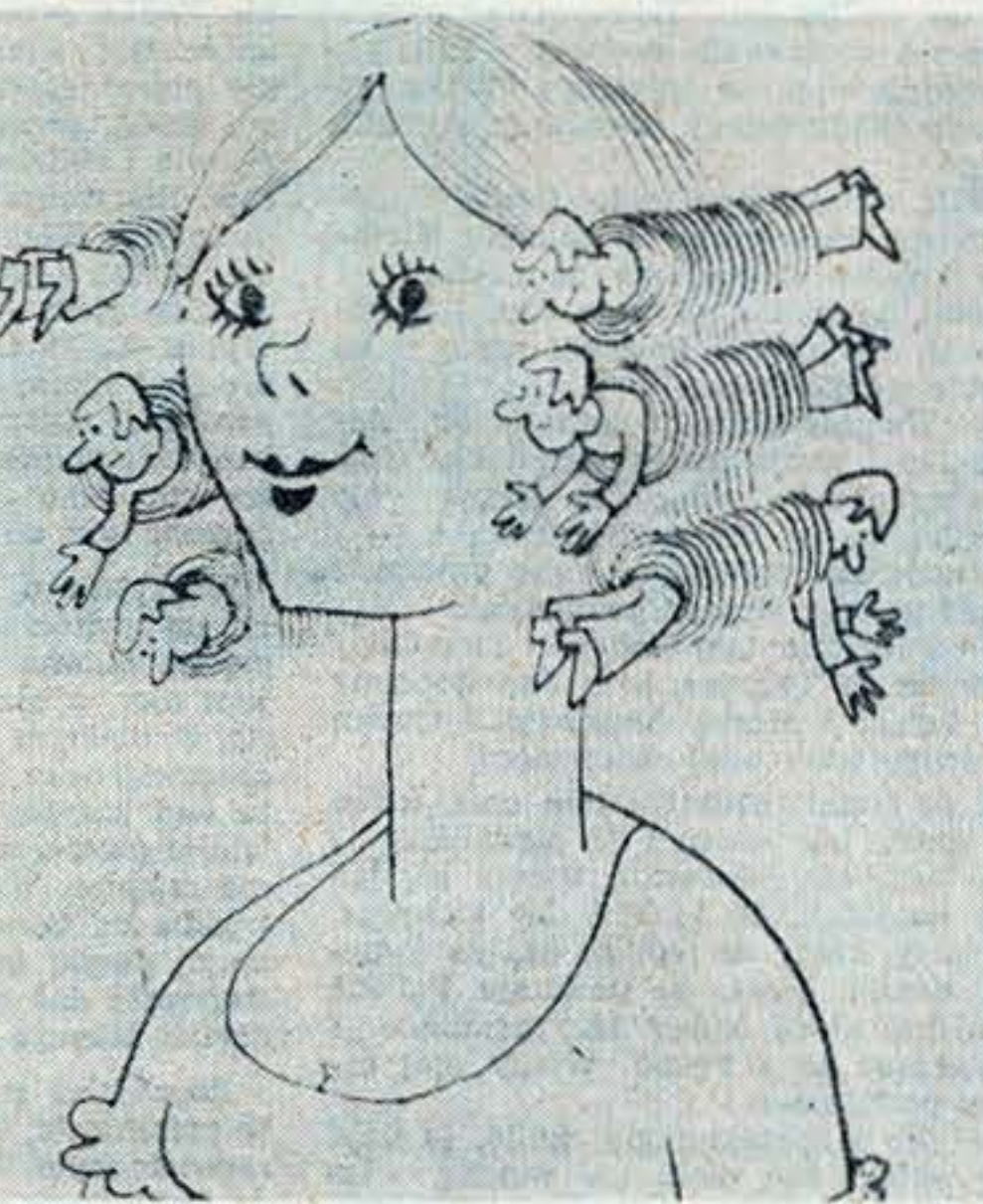
Obok nas przechodzi Walentyna Iwanowna, znowu uś-
miechnięta od ucha do ucha. Sierioża przyniósł chaczapuri.
Przeprasza, że tak długo. Przygotowanie ich wymaga nieco
czasu, a chciał, aby były świeże. Proponuje kawę po tu-
recku.

— To później — odpowiada Leonid. — Teraz podaj zło-
tego szampana.

Obokrajowy lubią rosyjski szampan. Gdy zamawiają go
u kelnerów, wymawiają ze swoistą brawurą: „szampansko-
wo”!

Dziewczyna badana są raz w miesiącu przez znajomego
lekarza. Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo zarażenia
wirusem HIV, ale według Leonida jest ono niewielkie. Stara
się wybierać pewnych klientów.

Dziewczyny zmieniają się zazwyczaj co pięć, sześć lat.
Ciągłe przychodzą nowe. Bývają też i takie, które działają
w pojedynkę ale jest ich niewiele. Aby wejść w środowisko,
trzeba mieć protektorów. Przy każdym hotelu zazwyczaj
działa po paru alfonsów. Jeśli starają się wejść tam inni,
bez uprzedniego wkupienia się, dochodzi do konfliktów.
Aby zdobyć sobie pole działania, potrzeba nie lada trudu,
zachodu, a przede wszystkim dużych pieniędzy.



Rys. BORIS EHRENBURG (ZSRR) — z Międzynarodowej
Wystawy Rysunków Casino Berlingen (Belgia), reprodukcja hel.

— To tak jak w mafii. Nie brakuje ich tutaj. Niejedna
scylijska naszej nie dorówna — twierdzi Leonid i uśmie-
cha się zagadkowo... — Te, które zadają się ze studentami
afrykańskimi, zmuszone są przekupywać portierów w akade-
mikach. Sprzedają się za zachodnie ciuchy, kosmetyki plus
drogi alkohol.

Jakiś Murzyn posadził niedawno jedną z dziewczyn, że ta
zaraziła go trypanem. W czasie badania okazało się, że on
nieświadomie zaraził ją AIDS-em. Umieszczono go w szpi-
tału. Dziewczyna popełniła samobójstwo.

Leonid twierdzi, że działanie w pojedynkę to duże ry-
zyko. Szczególnie w czasach obecnych menedżer jest nie-
zbędny. A poza tym i robota jest zorganizowana, i wszyscy,
łącznie z konikiem, pozostają lojalni.

Sierioża podał kawę i dosiadł się do naszego stolika. Roz-
mawiają o czymś bardzo szybko, tak, że prawie nie mogę
ich zrozumieć. Przez salę powolnym, dumnym krokiem
przeszła Walentyna Iwanowna. Przypominała kwokę pro-
wadzącą kurcząt. Kwaciarka już bez kwiatów, skiero-
wała się w stronę drzwi wyjściowych. Z sąsiedniej sali do-
latywała do nas znana melodia „Podmoskowny wieczór”...

DIABEŁ Z TURYNEM

Ciąg dalszy ze str. 2.

Czarna limuzyna dotarła na przed-
mieście. Na rogu ulicy młody
ksiądz daje znak ręką. Don Sa-
rogia wysiada, zamienia kilka słów z
księdzem i wchodzi do budynku.

Jak w większości przypadków, osobą
nawiedzoną przez szatana jest dzie-
wczyna. Na schodach, w przepoconej ko-
szuli, z zaczerwienionymi oczami, stoi
ojciec. Zopę już przed tygodniem wy-
słał na południe, do rodziny.

Dziewczyna leży w sypialni, skurczo-
na, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Don
Saroglia zbliża się powoli do łóżka.
Bezszelestnie wyciąga krzyż i skra-
pia głowę dziewczyny święconą wodą.

— Zaklinam cie na sędziego ponad
żywych i umarłych...

Ciałem dziewczyny wstrząsa gwał-
towny dreszcz. Wypreża się kilkakrot-
nie i zmienia pozycję. Leży teraz sztyw-
no, nienaturalnie wygięta. Jej nieruch-
mo wytrzeszczone oczy mają biały ko-
lor. Z gardła wydobywa się charczenie.
Ksiądz pochyla się nad dziewczyną i
próbuję wziąć ją za rękę. Reakcja jest
gwałtowna.

— Saroglia, wynoś się, ty świnię, i
tak mnie nie dostaniesz!

To krzyczy dziewczyna, którą diabeł
zamienił w „kreaturę” i poprzez jej
usta obrzuca księdza wyzwiskami.

Don Saroglia zbladł, rozpoznał bo-
wiem głos szatana — głęboki i ochry-
ply. Z ust dziewczyny płynie ślina. Pod-
czas gdy ohydny głos wrzeszczy „ty
świnię, ty świnię” — ksiądz trzyma
dziewczynę i powtarzając raz po raz
„ustap szatanie”, przykładając rękę do jej
czoła. I tak bez przerwy przez sześć go-
dzin. Aż wreszcie dziewczyna zapada w
letarg. Była jednym z najcięższych
przypadków.

Don Saroglia chętnie udziela wy-
wiadu.

— Dlaczego diabeł nawiedza tylko ka-
tołików, nigdy natomiast ateistów?

— A co miałby robić z niewierzącym?
Wybiera sobie tylko tych, którzy wie-
rzą w Boga.

— Czy zdarzyło się kiedyś któremuś
z egzorcystów ulec siłę szatana?

— Nie. Egzorcysta jest dość silny i
odporny, by oprzeć się zakusom szata-
na. Jest jedynym, którego szatan nigdy
nie dostanie. Co do mnie, to przeżyłem
wiele konfrontacji z szatanem. Zawsze
pienił się ze złości, że jestem od niego
silniejszy.

— Jak wygląda diabeł?

— Jest koszmarną karykaturą czło-
wieka...

— Szatan — wyjaśnia dalej Don Sa-
rogia — nie ma postaci ludzkiej. Jest
to władza, podobna do boskiej, ale zła.
Są nieomyślne znaki, kiedy diabeł bie-
rze kogoś we władanie. Człowiek staje
się wówczas zły, agresywny i krzyczy
ludziom prosto w twarz rzeczy, o jakich
wiedzieć nie może, np. że ktoś kogoś
zabił, zdradził lub oszukał przed wielu
laty. Człowiek opętany zachowuje się
dziwnie i lekko znajduje się w pobliżu
kościół lub osoby duchowne. Zaczyna
wtedy mówić w obcym języku, którego
wcześniej nie znał; nagle okazuje się,
że zna go perfekcyjnie. Kiedy daje mu się
święconej wody do picia, płuje ogniem.
Już nieraz sparzyłem sobie rękę...

Pokazuje ręce. Nie ma na nich blizn
po oparzeniach, są tylko zrogowacia i
brązowe, starcze plamy.

Don Saroglia zmienia temat.

— Na sto zgłaszanych przypadków
nawiedzenia przez diabła, jeden nada-
je się do potraktowania na serio. Po-
zostałe są wytworami imaginacji i stra-
chu lub wynikają z chęci wzbudzenia
sensacji. Czasem wypływają z niewie-
dzy, jak to było w przypadku 12-letniej
dziewczyny, która dostała pierwszą
menstruację. Ze wstydu i strachu dzie-
cko nie odważyło się rozmawiać o tym
z rodzicami, surowymi, konserwatyw-
nymi katolikami z południa. Ponieważ
zachowywała się dziwnie, było wybu-
chowe i płaczące, rodzice, którzy jako
nowi w Turynie nie znali lekarzy, za-
radą sąsiadów wezwali egzorcystę...

W latach 1969—1978 Don Saroglia miał
każdego dnia po dwa lub trzy takie
wezwania. Dziś dzieli się obowiązkiem
z pięcioma kolegami. On sam wzywany
jest tylko do przypadków szczególnie
ciężkich. Jako jeden z niewielu, Don
Saroglia ma biegłe opanowany tzw.
rymski obrządek, czyli wydaną przez
rymską kurie w 1614 roku „teorię
wypędzania szatana”.

Jan Paweł II powiedział do wier-
nych: „Diabeł to nie tylko zła
siła. W latach 80-tych przybiera
on postacie ludzkie lub zwierzęce”. Od

momentu ogłoszenia przez Papieża
światowej mowy, w katolickich Włoszech
o niczym innym tak wiele się nie mó-
wiło, jak o szatanie.

Turyńczycy pamiętają do dziś nie-
dawne autentyczne wydarzenie. W sty-
czniu 1983 r. na Piazza Statuto ludzie
świętowali pierwszy karnawał magii.
W kilka tygodni później, 13 lutego, w
tym samym miejscu wybuchł straszny
pożar. Spaliło się kino a w nim spłonęły
żywcem 62 osoby: 31 kobiet i tyleż sa-
mo mężczyzn. Powód pożaru nie zo-
stał wyjaśniony. Ale każdy Turyńczyk
wie, że liczba 31 jest odwróconą nies-
zczęsną trzynastką. W dodatku krytycz-
nego wieczoru w kinie w tym wyswiet-
lano francuski film pt. „Baran”, a we-
dług „diabelskiej” mitologii baran jest
zwierzęciem przynoszącym nieszczęście.

Strach przed szatanem spowodował w
Turynie wielkie zainteresowanie magią.
Zaangażowanych jest w to ponad 40
tysięcy ludzi. Spotykają się oni przy-
najmniej raz w tygodniu na tajnych ze-
braniach w różnych punktach miasta.
Ludzie ci noszą kapłany. Odprawiają
czarne msze i o północy piją krew oraz
zjadają serca „diabelskich” zwierząt.
W każdej księgarni poza lekturą, można
kupić wahadło, szklaną kulę i magicz-
ne ziło. Posiadanie „domowego magi-
ka” jest sprawą prestiżową.

O Lilliane Marchesini, drobnej, szcu-
piej pani dobiegającej 50-ki wie-
dzą wszystkie, że jest ona „ma-
giem”. Ona sama, jak mówi, nie czuje
się szczęśliwa z powodu posiadania ma-
gicznych zdolności, musiała je jednak
zaakceptować.

Zaczęło się, kiedy miała osiem lat.
Nie chciała bawić się lalkami, jak inne
dziewczynki. Wolala konwersacje z „mi-
łymi ludźmi” z zaświatów: hrabiami,
królami, naukowcami, poetami. Ojciec
uważał ją za pomyloną i ciągał po le-
karzach, którzy jednak nie stwierdzili
niczego poważnego.

Mimo wielu prób pozbycia się tej
właściwości, Hades pozostał w stosun-
ku do niej nieugięty — mówi pani
Marchesini. — Kiedy zamknę oczy, jak
na wielkim ekranie widzę wielkie ka-
tastrofy światowe. O wojnie na Fal-
klandach i trzęsieniu ziemi w Meksyku
wiedziałam już miesiąc przed zdarze-
niem. Nie mogłam jednak im zapobiec.

Lilliane Marchesini rezyduje w małym
mieszkanie na wysokim piętrze beto-
nowego wieżowca. Powietrze jest nie-
świeże i nasycone zapachem ziół. Jest
to jeden z najważniejszych adresów w
mieście. Prawnicy, fabrykanci, polity-
cy i artyści — wszyscy przychodzą do
niej po wroźbę karcianą lub wejście
w szklaną kulę.

W Turynie działa ponad trzy tysiące
magów i jasnowidzów. Wróżą z kart,
fusów kawowych, szklanych kul, z re-
ki lub przy pomocy magicznej pirami-
dy — według życzenia klienta. Roczne
dochody tego czarnego cechu szacuje się
na dziesiątki tysięcy dolarów, z tenden-
cją wzrostową.

— Tu każdy dyletant może założyć
magiczny byznes, bo jak skontrolować
zawodowe umiejętności maga? Zarabia
dobrze, podatki nie płaci, a żaden z
jego klientów nie skarży się, że został
oszukany. Wszyscy są zadowoleni, więc
interes kwitnie — mówi Renzo Rossoli,
autor książki o magicznych praktykach
w Turynie.

Tu mężczyzna w czarnym garni-
turze nieprzyjazny dziennikarzom,
to katolicki wikary Don Peradot-
to, prawa ręka arcybiskupa. Jest szefem
„działu” egzorcystów i magii oraz
znawcą obu tych tematów ze strony
kościół. Ma powyżej uszu głupich py-
tań w sprawie wypędzania diabła i
wszelkich złych duchów. Jego zdaniem,
wszystko to wymysł prasy.

— Kiedy ludzie nie mają co robić,
gadają o diable. Tymczasem w tym
roku mieliśmy tylko trzy przypadki eg-
zorcystów — mówi.

Trzy przypadki to faktycznie niewie-
le, czyżby zanosiło się na to, że wypę-
dzanie diabła pójdą z torbami?

Bynajmniej. Pewien student, któremu
pozwolono poszperać w księgielnym ar-
chiwum, znalazł ponad 1300 „zamó-
wień” na ściganie Belzebuba, z datami
obejmującymi okres 1984—1987. Na py-
tanie kim są nadawcy tych zamówień,
Don Peradotto reaguje złością.

— Nie są to sprawy przeznaczone do
wiadomości publicznej. Tylko dla mnie!
Nie miał eksplodować, gdy go zapyta-
ć, jak diabeł wygląda?

— Diabeł nie istnieje!
Jego oczy przy tym zdają się wycho-
dzić z orbity, a twarz robi się sina jak...
cement...

Tłumaczyła i opracowała
na podstawie prasy zachodniej

BEATA BARTOSIEWICZ

ta rzeka jest w nas
ciągle
przepływa ciemną wodą

nigdy nie widziałem w niej
nieba
a może ona i niebo
to jedno

na zaślubiny zatapiaamy
w niej pierścienie
z oczu

a kiedy rozstajemy się nocą
płynię swoim nurtem
nie oglądając się na brzegi.

mój sekret
oddany na przechowanie
znika pomiędzy przestrzenią warg

niby spóźniony gość
powraca
w pocałunkach.



BRULION PORTRETU

(Na marginesie wierszy
W. Strugalskiego)

Rozrzućmy w obdarowywaniu listami,
otwarty przed wszystkimi, ale samemu
chociaż obronny w jego wnętrzu
reguluje to otwarcie: to Wojciech mówi
zawile, tajemniczo, że przypomina mi
— mnie.

Gdybym umiał taki być strachu-
ceni, tęskniący do życia na Mlecz-
nej Drodze...

Mamy tego świata za dużo i dlatego
tacy jesteśmy Jego — ucieczką przed
światem w wodobłoki.

Młynarzu człowieku mojej rozterki
trzymaj się pochylę
zeby zmieścić się
w ciasnym lochu
życia

SIW, to ktoś taki, kto nawet mnie
skłonić potrafiłby do napisania wiersza.
Ale czy to wiersz?

Wycieczony SIW na młynarza, ale na
technika-młynarza, jest jak każdy z
nas inteligentem paratechnicznym, ale
wykonywać robotnicze zajęcia, dosłownie
jako fizyka.

Spotkał mnie na warszawskiej Nowo-
grodzkiej i zapewniał, że czuje się fi-
zikiem. Z pewnością w pierwotnej po-
staci chce zapewnić sobie „nierozkła-
dalność życia na czynnikach wtórnych” (mo-
je określenie). Czasami widzę go jadą-
cego z Mieszkowic do Kostrzyna, także
mojego Kostrzyna i prawie moich Mie-
szkowic, bo w tej podgorzowskiej kra-
jinie taplałem się w błocie torfowej zie-
mi.

Właściwie bronię się przed nim i to
z obawy, że nie potrafiłby mi spro-
stać w straceniach: ja, który okiełzał
swoją straceniowość! Tacy jesteśmy o-
kiełzani, że aż boli. Tyle lat kielzania
w systemie najlepszego sterowania czo-
wiekiem-jedynką, człowiekiem wol-mol.

Na zasadzie prawa sprzeczności, choć
nas tak mało jest jako nas, jeszcze mam
tego świata zawiła. Nie my sobie ale
światu stoimy na zawadzie, więc ma-
rzymy o życiu w uwarunkowaniach
Mlecznej Drogi, ale to są marzenia o
ludzkiej drodze, o ludzkim świecie.

Dotychczas nawet nie próbowałem
wywiązać się z obdarowywania przez
SIW-a, ale nie jestem aż tak dłużny
mu jak pewien Profesor, którego bar-
dzo śmiesz „poetyckie szusy” SIW-a.
On i jego zredaktorzona żona aż za-
chichotują się od śmiechu. Może słusz-
nie, bo kto potrafi tak trwonić siebie
jak SIW. Nikt. Jeden Brunon, ale to by-
ło trwonienie dużo gorszej próby.
Było to trwonienie bardzo niezo-
ganizowane, a nawet brutalne.

Nigdy nie widziałem SIW-a brutal-
nego, z pewnością także potrafił być
brutalny, ale wie, że jest krewnym
zwierzęciem (to trzeba powiedzieć jak
SIW w wierszu).

Pisanie o jego wierszach jest prze-
stępstwem (parafraza z SIW). Dlatego
nie piszę o jego „seledynowym tomi-
ku”, a o nim samym i dla niego sa-
mego. Na szczęście jestem przestępcą
i dlatego popełniając to zbrodnie, piszę
o SIW-je, ale nie po redaktorsku prze-
cież. Nie oceniając, a „poza „dobrem i
ziem” właściwie.

Dedykowanie Fedekiemu tomiku na-
prowadzić może na trop, że SIW chciał
by być jak Stachura. Może nie wie, że
jest lepiej niż Stachura, to znaczy pro-
ściej, jest więcej. Nie ma też prawa za-
zdrościć Stedowi „powodzenia”, bo to
męczennik, a SIW nie powinien marzyć
o męczeństwie. On ma prawo zdobyć
duże powodzenie, bo potrafi to zba-
gacić, a nawet unieważnić. Tylko
tacy poeci i nie-poeci zdobywają wiel-
kie powodzenie literackie. Temu powo-
dzenie, kto nie ma żadnej z tego ko-
rzyści, a przeciwnie — jest mu to ku-
lą u nogi.

Chciałbym, żeby SIW miał takie po-
wodenie, jak mi to kiedyś pisał: —
„Już podbiłem Kraków, bo będę dru-
kował u Machajki”. Czy Profesorstwo
nie ma powodów do śmiechu, gdy coś
takiego słyszy.

Otrzymałem od SIW-a „List XXV
Fantasmagorii”, rzymskie liczby napro-
wadzały mnie na apostołski charakter
tego „Listu”. Czytamy: „Wielką mi ra-
dostę uczyniłeś Listem, który dziś ode-
brałem. Dla mnie Twoje listy — chwila
wielkość: zajmują w moim ro-
botniczym życiu więcej serca niż te
żurnalistyczne nowinki w gazetach,
wzajemne poklepywanie się po ramie-
niu.”

Nigdy nie potrafiłbym poklepywać
SIW-a, jako ktoś lepszy, bo zawodowo
już zredaktorzony, przeciwnie — mam
go za człowieka czystszy niż sam jes-
tem.

Takiego mi pokazuje jego brulion au-
matyczny, mojej Matki w Lubsku, nie czy-
ta prawie, bo nie widzi prawie, ale
gdybym jej to przeczytał to by się u-
śmiechnęła, choć przeważnie jest „zła-
na na ten świat”, że taki.

Może po przeczytaniu wiersza jak nie-
przytomny pobiegł na Centralny, że-
by jechać do Matki w Lubsku, a to jest
taki sam koniec świata, jak ten w Mie-
szkowicach. A przynajmniej pomógł
się za nią. A modli się o Matkę tak:

„Zdrowaś Matko, łaskiś pełna
Syn z tobą
błogosławionaś ty między niewiastami
i błogosławiony owoc żywota Twojego
Zygmunta”.

Pewnie brzmi to bluźnierczo, ale to
przecież moja Mama, a ja jej syn, który
napisał ewangelie wg Filipa. Myślę,
że gdybym całkiem serio umiał tak po-
myśleć (a umożliwił mi to SIW), to i
do zwirowania jeden krok, i do wiel-
kości.

Ale kogo stać na przekroczenie tej
granicy, którą SIW przekracza tak
swobodnie i z taką pewnością, że nie
skreśli karku duchowi swojemu.

Uważaj SIW
łatwo skreślić kark
duchowi swojemu,
jeszcze łatwiej
robić to inni
kiedy nie mogą
patrzeć, że potrafimy
unosić się w chmurach.

ZYGMUNT TRZISZKA

Wojciech Iza Strugała: „Bruliony auto-
portretu”. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wro-
cław 1988, str. 62

Cóż to jest życie ludzkie, córko?
Może i za własne? Lza, jaka z
radości wtedy płynie, gdy doty-
kamy już rąbka szczęścia i nagle wy-
myka się ono nam spod palców. Roz-
grzeje przedtem nasze serce i nagle od-
dała się, zostawia mróz, zamieniający
tę łzę w kryształek lodu.

Taka lza zalała w oczach dziadka
Stefana, kiedy jako 18-letni młodzie-
niec stanął do walki w powstaniu sty-
czniowym. A wraz z jego
krwawym zdlawieniem wymknęło się
szczęście i został mróz, mróz nie tylko
w sercu jako kryształek lodu, ale i
dookoła, bo po odbytej katorżce zesłano
go na Syberię, aż za Irkuck.

W obcej i surowej krainie, żeby nie
zapomnieć ojczyzny za którą gotów
był oddać życie, wydosłał z głębi du-
szy zapamiętany portret uwielbionego
naczelnika Tadeusza Kościuszki i u-
trwalił go na kartce białego papieru
nieśpiącą i spracowaną ręką. Ten por-
trek i medalik, jaki otrzymał od ma-
tki w czasie pierwszej komunii, czyni-
ły znośniejszą samotność i podtrzymy-
wały wiarę, że szczęście jakie zostało

że nie znalazł ojczystego języka mo-
jego dziadka. Zachłannie uczyłem się
każdego polskiego słowa. Kącikiem
wciąż tę polską mowę i dlatego też nie
którzy docinali mi: Rusok, Rusok! Na-
wet nie wiedzieli, jak ranili moje ser-
ce. Jak bolało mnie ono za dziadka
Stefana, który bronił swojej polskości,
jak zrenicy w oku i przekazał ją w te-
stamentnie ojcu, a ojciec mnie. Odcina-
łem się: ja Polak, ja — Jan, a nie
Iwan, jak złośliwie na mnie wolali.
Ja Jan i nie mówię źle o Rusokach,
bo oni stworzyli wojsko polskie i oni
biją się o wolność naszego kraju. My-
ślisz może córko tak jak dzisiejsza młó-
dzież, że to propaganda, slogany. Wte-
dy nie była to propaganda a rzetelna
prawda, bo ranami i krwią, a także po-
ległymi dokumentowana.

I siedem z tym wojskiem od Lenina
i kiedy mnie odłamek skałczył czoło,
nie chciałem pozostać w szpitalu, lecz
obandażowany powróciłem na front,
by iść aż do Berlina.

W czasie szturmu na Berlin zostałem
po raz drugi ciężko ranny i długo mu-
siałem leżeć w szpitalu. Okaleczenie by-

ziośliwie mówił, że jestem politrukiem,
wcale mnie te sprawy nie obchodziły.

Myślałem z niepokojem i smutkiem o
losie matki i siostry. Napisałem jak
mogłem najczulszy list i wysłałem go
w ślad za żalobnym telegramem.

Wscibski Karczmak i to wywodził,
więc z mojego milczenia i twojego pła-
czu, i wysłanego telegramu utkał zno-
wą nową przeciw mnie intrygę, szepta-
ną sąsiadom. O niczym nie wiedzia-
łem, więc nie tłumaczyłem się z nicze-
go. Matka twoja — jak wiesz — jest
mądrą kobietą i jak mogła starała się
pomagać mi we wszystkim. Doradzała
też, żebyśmy nauczyli się języka niemiec-
skiego. — Dziecko to się przyda — mó-
wiła — w szkole, a potem w życiu. I
to również przeciwko nam wykorzysty-
wał Karczmak, by oczernić nas przed
sąsiadami, zwłaszcza z największą zło-
śliwością w 1956 roku po czerwcowych
rozruchach w Poznaniu, po których nie
którzy wykrzykiwali: Przegnać z wojs-
ka polskiego ruskich oficerów wraz
z marszałkiem Rokossowskim. Te głu-
pie wykrzykiwania nie podobały mi

sybirak

Michał Kaziów

zamknięte w zamrożonej łzie, zostanie
jeszcze wyzwolone...

Dziadek Stefan nie chciał złożyć ro-
dziny z żoną z Rosjanek, zwłaszcza ta-
ką, która na laszka katorżnika patrzy-
ła z pogardą. Dopiero po wielu la-
tach, już jako podstarzały kawaler, o-
żenił się z wdową po katorżniku Proko-
pie, która nienawidziła tak jak on ca-
ratu... A kiedy powiła mu syna, spoj-
rzała z zadumą na mały portretek Ta-
deusza Kościuszki i powiedziała:

— Nadał mi imię Tadeusz

I wówczas byłemu powstańcowi po-
płynęła łza radości i poczuł jak szczę-
ście zamknięte w kryształku lodu uwal-
nia się i ogarnia ich. Pochylił się nad
pierworodnym, tą kropką ochrzcił go,
wszczepiając weń tęsknotę do zniewo-
lonej ojczyzny. Nie jemu jednak przy-
szło uczyć Tadeusza, a mojego ojca
miłości do ojczyzny, wpajać ducha pa-
tryotycznego — nie jemu. Powołany na
gł. choroba czuł jak życie zeń ucieka
i spoglądał na syna, którego nie zdolał
jeszcze nauczyć ani jednego polskiego
słowa. Potem spoglądał smutno na żonę
i rzekł:

— Olgo, przekazuję mu w testa-
mencie ten narysowany przeze mnie
wizerunek Kościuszki, a ciebie proszę...

— Nie kończ! Ja nauczę go miłości do
nieznanego mi, lecz tak bliskiej Polski.
Choć prawie nie znam języka twoich
ojców, nauczę go miłować kraj nadwi-
ślański po polsku. Dotrzymała babcia
słowa i wychowała swojego Tadeusza,
a mojego ojca na szczerego Polaka, go-
dnego spadkobiercy powstania styczni-
owego.

Tak, córeczko ty moja. Ojciec wszy-
stko mi opowiedział o dziadku Stefa-
nie i babci, której nie pamiętam. I
mówił, że nadał mi imię Jan, i naka-
zywał, żebyśmy nie pozwolili nigdy na —
— Uważaj synu, ja mówię do cie-
bie Jan i twoja matka Anastazja, choć
Rosjanka mówi do ciebie Jan, a nie
Waska, bo ty Jan — Polak.

Pamiętam, położył mi rękę na ramie
niu i patrzył w oczy powiedział:
— Przyjdź taki dobry, szczęśliwy
czas, że ja Tadeusz, a ty Jan wrócimy
do Polski i matkę Anastazję, i siostrę
Jadwigę też z sobą zabierzemy.

I po latach nadszedł taki czas, córko
ty moja, jak ojciec i ja plakaliśmy i
leż tych nie wycierali, bośmy się ich
nie wstydzili, bo to były łzy szczęścia.
Płynęły, kiedy aż tam do nas na Sybe-
rię doszła wieść, że powstaje Polskie
Wojsko, które będzie bić Niemców i
wypędzać go z Polski. Wtedy mój o-
jciec powiedział:

— No i doczekali my, tylko, że mnie
do wojska bez dionii nie weźmą. Bo
ojciec mój, a twój dziadek Wandziu
okaleczał w wypadku przy robocie i za-
plakał, bo nie mógł spełnić testamentu
dziadka Stefana, i rzekł z rezygnacją:

— Tobie synu idźcie dopiero osiem-
nasty rok. A ja mu na to:

— To tyle samo ojciec, ile miał dia-
dek Stefan, kiedy wyruszył do powsta-
nia, to i na mnie czas.

Pożegnał ja matkę i siostrę, i rozstał
się z ojcem, który na pożegnanie dał
mi na drogę narysowany przez dziadka
Stefana portretek Kościuszki. Niech ci
on będzie obrońcą i talizmanem. Idź
synu! Niech cię Bóg strzeże, a ja przy-
pomniat sobie „Ojciec nasz” po polsku
i z tą modlitwą szedłem bić się o kra-
inę, którą miałem w duszy jedynie wy-
obrażoną.

Myślałem, że stał się cud, gdy przy-
dzielono mnie do I Dywizji Piechoty
im. Tadeusza Kościuszki. Rozumiesz,
Kościuszki! Lzy szczęścia płynęły z
oczu nie tylko mnie, ale i innym ro-
słym chłopom, kiedy składałymi przy-
sięgę jako polscy żołnierze. Żal tylko,

że nie znalazłem ojczystego języka mo-
jego dziadka. Zachłannie uczyłem się
każdego polskiego słowa. Kącikiem
wciąż tę polską mowę i dlatego też nie
którzy docinali mi: Rusok, Rusok! Na-
wet nie wiedzieli, jak ranili moje ser-
ce. Jak bolało mnie ono za dziadka
Stefana, który bronił swojej polskości,
jak zrenicy w oku i przekazał ją w te-
stamentnie ojcu, a ojciec mnie. Odcina-
łem się: ja Polak, ja — Jan, a nie
Iwan, jak złośliwie na mnie wolali.
Ja Jan i nie mówię źle o Rusokach,
bo oni stworzyli wojsko polskie i oni
biją się o wolność naszego kraju. My-
ślisz może córko tak jak dzisiejsza młó-
dzież, że to propaganda, slogany. Wte-
dy nie była to propaganda a rzetelna
prawda, bo ranami i krwią, a także po-
ległymi dokumentowana.

Stare wielkopolskie przysłowie mówi:
„Kto przy Obrze, temu dobrze”. Ale
mnie od samego początku nie było do-
brze, córko. Feliks Karczmak spod Ko-
nina, który osiedlił się przez miedzę i
chciał moje gospodarstwo zatrzymać
dla krewniaków, wciąż przeciwko mnie
judził. Pozostałych frontowców, którzy
pochodzili spod Lwowa, Białegostoku
lub Wilna szanował i uznawał, ale mnie
Sybiraka poniżał na każdym kroku.
Ile razy z sąsiadami zaczynałem mó-
wić a jeszcze nie bardzo mi to po pol-
sku, mówienie szło — przedrzeźniał
mnie i wysmiewał:

— To ruski politruk. Kiedy przyje-
dzie na białym koniu generał Anders,
to takich jak on Rusaków z Polski prze-
pędzi zimy do Sowietów.

Przez te złośliwe, córko, szeptań-
cie Felixa bałem się sprowadzić rodziców
i siostrę z Sybiru, którzy w ogóle nie
znali języka polskiego. Wytkałaby ich
palcami, jak mnie: wytkał Feliks i
oczerniał.

Kolejdy frontowi pociągali rodziny i
coraz lepiej im się gospodarzyło. Chcia-
łem się znieść z jedną spod Grodziska,
ale Feliks przestraszył ją, że „ruski
antychryst Cierpiełiem przez to długo,
ale potem spodobała mi się twoja ma-
ma Rozia, córka autochtonów. Jej dia-
kowie i rodzice uciarlieli od germań-
ców. Nie wolno im było mówić po pol-
sku, toteż Rozia kłamała polszczy-
nę tak jak i ja, tylko, że ona z nie-
miecka: Rozia — wykrzykiwali na nią.
Wynosił się za Odrę. To ja zacząłem ją
pobić i Karczmaka też — poskromi-
łem, bo wiedziałem, że ona w głębi du-
szy tak samo cierpi. Na szczęście przy-
padłem Rózi do serca i pobraliśmy się.

Marzyłem o synie, ale urodziła się
ty, ku radości matki. Nie ochrzciłem
cię lzą radości jak dziadek Stefan mo-
jego ojca, a ojciec mnie, bo ochrzczono
cię w wolnym kraju, normalnie po
chrześcijańsku w kościele. Zauważyłem,
że nad kółką twoją nie mogłem po-
wiesić portretka Kościuszki, bo już go
nie miałem. Wtedy kochana Rozia za-
wiesiła na kółce piastowski orzełek z
mojej czapki frontowej i na chrzcie po-
stanowiła dać ci na imię tej, która nie
chciała Niemca za męża.

Rozwijalas się i rosłaś w zdrowiu i
w szczeniocie, i od tego szczeniowania
radośnie było w domu. Karczmak od
jakiegoś czasu przychodził.

Zapłakaliśmy dopiero po paru la-
tach, kiedy w Syberii przyszła od mat-
ki i siostry wiadomość, że o-
jciec odszedł z tego świata, nie zobaczy
wszy ojczystego kraju, do którego nie
ustannie tęsknił. Plakaliśmy wszyscy
troje, a najgłośniej ty, Wandziu, która
rynowane listy do dziadków wysyłałaś,
bo pisać jeszcze nie umiałaś, malując
drogę którą do nas mieli przyjechać.
Plac ten posyłał stojąc za plotem
Karczmak i nie znając przyczyny tej
bolesci, rozgadał wśród sąsiadów, że
lamentujemy z powodu śmierci genera-
lissimusa Tego dnia właśnie, kiedy
przyszły do smutną wieść list z Sy-
berii, w radio podano komunikat o
śmierci Stalina. Nie o tym nie wie-
dziliśmy, bo nie mieliśmy jeszcze radia,
a choćby i mieli, to i tak ja urodzony i
wychowany na Syberii miałem własne
o nim zdanie. Tak więc, choć po jego
śmierci w Polsce różnie szepiano, ja
miałem. Nie lubiłem nigdy wtrą-
cać się do polityki, mimo, że Karczmak

się i komuś o tym powiedziałem, że
mnie to boli. Wiedziałem, że niekto-
rych oficerów z Armii Czerwonej odde-
legowano na okres wojny do Ludowego
Wojska Polskiego, któremu trzeba było
pomóc fachowym instruktorem i do-
świadczeniem wojskowym, ale też do-
brze, córko, wiedziałem, że większość
oficerów w naszym wojsku to rdzenni
Polacy. Polacy, którzy nie z własnej wo-
li znaleźli się na ziemi rosyjskiej, czy
radzieckiej, tak jak nie z własnej woli
mój dziadek znalazł się na Syberii.

Kiedy jednej niedzieli wszyscy troje
szliśmy na nabożeństwo, Karczmak za-
szedł nam drogę i zaczął wykrzykiwać:

— Ludzie, nie wpuszczajcie ich do ko-
ścioła. Przepędźmy tego antychrysta do
Sowietów! Zrobił się z tego wielki skan-
dal i Karczmakiem zainteresowała się
miejscowa, przez co jeszcze bardziej po-
nieżył na mnie ujadł Zresztą, chwycił
się różnych sposobów, żeby wykurzyć
mnie z tego gospodarstwa, bo jego naj-
starszy syn Henryk już dorastał, więc
teraz znów zachłannie patrzył na moją
zagrodę. A mnie ani się śniło zdawać
na rentę gospodarstwo.

Czasem myślałem o synach i wnuc-
kach emigrantów polskich na Zachodzie,
a zwłaszcza w Ameryce. I jak oni
byliby przez takich jak Karczmak trak-
towani, gdyby nie znali dobrze ojczy-
stego języka tak jak ja nie znałem.

Co, Wandus, dziwisz się, że ci nigdy
o takim myśleniu nie mówiłem? Nie
mówiłem, bo i po co miałem zwracać
ci głowę takim zamysleniem. Byłaś za
jaka studiami, a potem, gdy w gminie
podjął pracę agronoma, miałas huk
roboty. Cieszyło to i cieszy mnie, że
chłopi szanują cię, no i to, że tak uno-
wocześniełaś naszą gospodarkę.

Od wielu lat przyjeżdżają już do
Polski z Zachodu rodacy, ale ja nigdy
nie miałem okazji, by z nimi porozma-
wiać. Czasem oglądałem ich w telewizji
i słyszę jak niektórzy kłopotliwi polski je-
zyk i nikt się z nich nie wysmiewa,
tak jak wysmiewał się ze mnie Karcz-
miak, a ten krewny z Ameryki co wzo-
ra! przyjechał do Szczepaniaków samo-
chodem, to poza „dzen dobry” ani w
zab nie umie po polsku. Sąsiedzi jed-
nak nie wysmiewali go lecz nadskaki-
wali, przynimali się, jakby nie wiado-
mo do jakiego bohatera. Każdy ciągnął
go do siebie na wodę, a najwięcej do
Karczmaka, a że krewniak Szczepania-
ków naszego sąsiada nie nie rozumiał,
to Karczmak poprosił słodko mamę:
Rózi, przetłumacz mu po niemiecku,
może skapnie, że córka moja przycho-
wała podwieczorek dla Polaka z Ame-
ryki.

Jakby mnie kto siekiera po głowie
rąbnął! Zeżłilem się na tego chytrusa i
powiedział do mamy: Ani mi się waży!
I tłumacz to o co ja będę pytać, bo
chciałem się, Wandziu, dowiedzieć, czy
słyszał ten Polak o Kościuszcze, czy
tam, gdzie mieszka, nie ma Polaków,
czy zna język ów i jeszcze o inne
rzeczy chciałem zapytać, ale Karczmak
się wściekł i pokazując na mnie pa-
lcem zaczął wykrzykiwać:

— To Rus, to politruk!

Rodak z Ameryki źle rozumiał i po-
wodził:

— Polizei? Polizei? i zdenerwowany
wycofał się do Szczepaniaków.

Taki wstyd! Tyle lat po wojnie, a
ten łobuz wciąż mi ubliża i poniża
mnie, rdzennego Polaka i Kościuszkow-
ca. No powiedz córko, czy wreszcie od-
dać tego swoloczę do sądu, czy godzić
się na to, by życie nasze spokojne, ra-
dosne zamieniał we łzę. No, powiedz??!

I w kółko nastawialiśmy jedyne dwie płyty, jakie miałem. Drugi koncert jazzowy Benny Goodman: „Hello, this is Benny Goodman and it seems to me that I have heard that thing before. You may have heard it too as well as the other numbers...”. W końcu zaliśmy to od a do zet. Z dziesięć razy Someday Sweetheart, Stardust, My gal Sal, Josephine, Everybody loves my baby, You turned the tables on me. A w przerwach ona opowiadała różności. (...) Wzięłam ją za rękę, podciągnęłam, żeby wstała i zaczęliśmy tańczyć. I hadn't anyone till you, I never gave my love till you, And through my lonely heart... I zapaliłem parę świeczek, bo to było w czasach artystycznych prywatek przy świecach i cierpiem krajowym winku. Świece w pustych butelkach i chcąc niechcąc przypominałem sobie, co ktoś kiedyś powiedział na takiej zabawie: „Takie pełne kragle babeczki to się, proszę ciebie, nie szczypią”. W trakcie tańca uniosłem jej spódnice i ściągnąłem majtki poniżej pośladków. Kiedy była odwrócona do lustra piecami, na dłuższy czas zatrzymałem obroty i tańczyliśmy w miejscu. I widziałem, jak te wspaniałe pośladki lekko się kołysały. Bezwzględnie przy świetle świec. I czułem się taki cholernie bogaty. Ale wtem ona się obejrzała i powiedziała na pół zgroziona i zdziwiona: „Tyś mi się przyglądał”. Chciała mnie puścić, żeby podciągnąć majtki, i opuścić spódnice. Ale kiedy szybko się obróciłem, żeby mogła zobaczyć, jak ja tańczę z tym kawałkiem jej nagoci, przestała się opierać. Poczułem ciepło jej ciała przez spódnice, ukląknąłem przed nią i nie wiadomo kiedy między wargami jej soczystą p... A nie była to taka zwykła dziura obrobiona była — jak chaszczkami włosów, która sprawia wrażenie, że się cmoka mężczyznę z brodą i wąsami. Ani też takie wejście do rzeźni z dużymi wargami sromowymi kłapciasto na zewnątrz, jak brunatne drzewiczki saloonu, gotowe przytrząsnąć człowiekowi jaja.

Nie, choć tylko pobieżnie obejrzałem jej kocią brodkę, wiem co zobaczyłem. Jak jej brzuch, tu i ówdzie z zabłąkanym na dół pęgiem jak brązowa fasola wśród lśniącej pszenicy z Pieśni nad Pieśniami, u dołu, po lekkim wkleśnięciu znowu przechodził ku przodowi w wypukłość, prawie jak mała napięta pierś dziewczęca. Dojrzałe różowe owoce o rudych włosach z brudką, która się otwierała od mlecznej soczystości. Otuliłem dłońmi jej pośladki i przycisnąłem do siebie i wetknąłem język w tę wilgotną brudkę. Zamruczała i stęknęła, a jej szpilkowe obcasy zastukały o podłogę w

drzącym napięciu, naraz coś jakby pchnęło ją ku przodowi, i obiema rękami zaczęła przyciągać swoją głowę twarzą do tego miękkiego przepysznego miejsca. Potem pokręciła p... wokół mojego języka. Wreszcie odepchnęła mnie od siebie, ale broda zaczęła mi się o gumkę w jej majteczkach rozpiętych sztywno między uda mi i zdążyłem jeszcze ją na odchodne liźnąć ze smakiem. Mimowolnie przypomniało mi się, co przeczytałem we francuskim przekładzie Kama Sutra: „Excités directement par la suction, l'aspiration et le lechement de tous leurs organes, les femmes, parvenues au paroxysme, lancent dans la bouche de l'homme, par leur conduit afferent le mucus glaireux sécrété par les glandes vulvo-vaginales. Zawsze myślałem, że to była przesada i że Henryk IV — królestwo za p... — który taki był na to łasy, że wręcz świata za tym nie widział, musiał być ofiarą swojej rozgorączkowanej fantazji. Uważał to za większy przysmak niż ostrygi. Otóż ja nie lubię ostryg, ale kiedy już miałem taką na języku, to patrząc na Olgę, jeszcze obracającą na wpół zamkniętymi oczami i się rozkoszującą, musiałem kosztując przyznać, że to było smaczne. Olga naraz przycisnęła dłoń do włosów w kroku i powiedziała, że musi koniecznie wyjść. Powiedziałem, że śmiało może wysłuszać się w moje usta. Ona na to, że jestem świntuch i pobiegła do miejsca, które jej wskazałem, umywalki w drugim kącie atelier. A kiedy trochę zawstydzona, ale z przyjemnością wypuczona nad umywalką szczała, niedokładnie ukryta za dużym fikusem, ucieczyłem się, że nie przyjęła mojej propozycji. Bo dochodził stamtąd taki ciurkot, jakby jakaś kosa pimpowała na kawał blachy. A taki byłam na nią napalony, że zanim skończyła doleciałem do niej, wsunąłem w górę rękę między jej uda i potrzymałem dłoń w tej wspaniałej gorącej urynie. A potem natarłem sobie tym twarz. Zrobiła obrzydzoną minę, ale ja powiedziałem, że nie nie pachnie tak pysznie, jak szczyzny zdrowej, młodej kobiety o ile nie jest piwowoską. A w dodatku to działa leczniczo. Zwłaszcza na poparzenia pokrzywą. Potem wzięłam ją z tą mokrą p... na ręce i zaniosłem do łóżka, po drodze całując ją i liżąc po całej twarzy. Nawet uszy i dziurki w nosie. Gorzko i słono. Kiedy ją rozebrałem, na co mi pozwoliła ulegle i leniwie, poustawiałem dookoła łóżka na ławkach i skrzynkach butelki ze świecami. Potem usiadłem na krześle, żeby spokojnie na nią popatrzeć. Jak jej piersi nie opadają niby zbyt rzadki budyń, ale twarde sterzą z sutkami wskazującymi na sut. A te sutki to nie były takie rodynecekki, które jak się weźmie w dwa palce to znikają, ale najprawdziwsze zakończenia imponująco sklepionych frontonów. Były usiane setkami drobniutkich piegów i wyglądały jak posypane brązowym cukrem. A jej skóra była między tymi wszystkimi brązowymi plamkami taka biała, że sprawiała to wrażenie, jakby ona zawsze się myła mydłem maślanym. Leżała sobie spokojnie z tą swoją okrągłą, uroczą głową i kasztanoworudymi włosami falicnie na poduszce, rozglądając się tymi dużymi ciemnymi oczami. Po atelier. Patrząc na rośliny, szkielety, w lustrze łóżko otoczone świecami. Wyszedłem na chwilę do ubikacji, a kiedy wróciłem, już spała z jedną rączką przy rudych włosach łonowych, a drugą przy policzku. Znowu usiadłem na krześle i dalej na nią patrzyłem. Wtem zobaczyłem, jak rozklejają jej się usta, do środka wchodzi kciuk i zaczyna się powolne ssanie. Jak długo tak siedziałem, zafascynowany tym uroczym stworzeniem, nie wiem. Jedną po drugiej gasty świece. Czasem z sykiem, kiedy reszta parafiny z palącym się knotem zapadła się przez szybkę butelki i utonęła w winnym osadzie. I usłyszałem, kiedy ptaki zaczęły jak oszalełe śpiewać, gółębie gruchać i burczeć na długo, zanim się rozwiadło. A gdy się zrobiło widno, ona się przebudziła

z porannego chłodu. Położyłem się koło niej, narzuciłem na nas luźno prześcieradło, i wtedy zaczęła się dla nas noc.

JABŁKO ZEMSTY

Kiedy te amerykańskie cipki ze swoimi papugami, albumami (ten smutas Dürer z trefionymi włosami), obijającymi się koleżkami — nie mogą odeprzeć wspomnienia, że ich kalesonki były z jakiegoś elastiku, który ścisnął do kupy cały interes — dostały ode mnie krzyż na drogę, moje upojne życie zaczęło się na nowo. Albo zacząłem nowe upojne życie. Uszlachetnione samotnością i cierpieniem, można by powiedzieć. I tęsknotą do tej rudej. W każdym razie nie latałem już tak zawzięcie z kutasem na baczność, żeby go jak harpun wbić w pierwszy lepszy poleć słoniny, jaki wychynię z odmetów wieczornego miejskiego życia. Nie, szukałem, jak to mówią, wewnętrznego kontaktu. Brałem do domu dziewczynę, po których było widać, że są w kłopotcie. Dziewczyny, z którymi można było rozmawiać godzinami, zanim została dobytą biała broń. O śmierci, nieszczęściach, chorobach wewnętrznych, sutkach, na co i tak nie ma rady, można było przykładać się do ssania z całą namietnością, aż wschodzący jak ogniste paki, ślina w ustach robiła się leśnochłodna, a te siup, znowu przepadały w porowatej tkaninie tych mleczarni — o domu, rodzicach, młodszym siostrach, starszym bracie, kaziorodztwie, j... w dupcie i o trądziku młodzieńczym. Ale często wypadki toczyły się niespodziewanym trybem, bo słusznie powiada się, że kto z dziećmi spać się kładzie, zasraną wstaje. A tak samo ze stukniętymi. Elly na przykład, którą jak kreta wydłubałem z budki telefonicznej i za późno przy tym się spostrzegłem, że urwała się z zakładu. Jak mi wieczorem

Sceny miłosne w literaturze pięknej

konceptę systemu Niezauważalne Zabezpieczenie, tak że kutas utknął nagle na mielźnie. Kiedy chciałem wsadzić jej od góry, powiedziała: „Nie po to Pan Bóg dał człowiekowi usta”. Próżno było zachęcać, że właśnie ma się zamiar udzielić świętej hostii. Bo wtedy była zdolna zawiązać ci ch... na kokardkę. Ale to wszystko i tak była maszka z mlekiem w porównaniu z takimi, co zwracały się do ciebie per Stary Jaszczurze, Kociu albo Kudlu Pudlu lub coś podobnego, co usłyszały w dukaniach rodziców po dwudziestu pięciu latach małżeńskich rutyny i śleczlizny. Albo z historyczkami, co miały kompleks ognistego chłopa znad Morza Śródziemnego, jak ta podła tleniona blondynka Bertie, która patrzyła za mną żarłocznie, gdy się na chwilę wynurzyłem od niej, żeby iść do ubikacji, mówiąc przy tym: „Chodź się zupełnie jak włoski rybak”. W takich razach trzeba było mieć się na baczności. O mamma mia. Za parę dni dostałem list od jej prawnego opiekuna, którego zdołała przebrać na swata: „Z powodu kontaktu, jaki pan utrzymuje z Bertie, nad którą sprawuję kuratelę byłbym wielce zobowiązany, gdyby zechciał pan mnie odwiedzić”. Zupełny dziewiętnasty wiek, jak w historyjkach z Camera Obscura. A za siedem miesięcy można ją było widzieć na Kalverstraat jak człapała za wózkami z ciemnowłosym dzieciątkiem o dużych piwnych oczach, niechcinnie zrobionym przez włoskiego rybaka z luskami i krwią tuńczyków we włosach łonowych, gdzieś o zmroku

Nie chciała się ze mną pier..., odwróciła się do mnie kościstą dupą i powiedziała, że z cholesterolem kojarzy jej się pruski błękit (uczęszczała na kurs malarstwa). Kiedy ją jednak w środku nocy wzięłem po półprzymrogu szamotaninie splątanych nóg, nie mogła się spuścić. Choć starałem się być dla niej taki miły, jak tylko umiałem i dawałem wszystko z siebie, było to, jakbym próbował napompuwać przebitą dętkę. Dziewczyna z psem bokserem, która tak rozpaczliwie się we mnie zakochała, że chciała mi się oddać dopiero w noc poślubną. A kiedy do tego nie doszło, codziennie przechodziła utęskniona koło mojego domu odwracając głowę. Jedyne kiedy pies podnosił nogę pod pobliskim drzewem, spoglądała przełotnie w moje okna. Natomiast jeśli przycupnął na drążących tylnych łapach, żeby wyduśić balaskę, jakby zapuszczał korzeń, szarpnęła go niecierpliwie. Czerwieniła się ze wstydu po szyję, jakby to ona oświadczyła przed mną w kucki robiła kupę. W dniu urodzin położyła mi pod drzwiami dużą muszlę słodkowodnego małża, którą środkiem z maciej perłowej wyroszczonej był mchem, a na tym leżały czerwone jagódki, imitacje pereł i jeszcze jakieś smiotki. Obok leżała kartka z reprodukcją Picassa z dziewczyną o płaskiej twarzy, jaką sama miała i o wielkich melancholijnych oczach. Ona niestety takich nie miała. Na odwrocie napisała: „Jakże musisz być samotny, abyś przestał to czuć. Jakże musisz być cichym, aby pragnienie przestało przemawiać”. Ale w końcu i tego było mi dosyć. Skończyłem z tym. Straciłem ochotę. Zaczęłem rzygać na sam widok spódniczki. Najpierw myślałem, że popadłem w impotencję po jednej dziewczynie, która miała takie zarosnięte piersi, że głowa człowiekowi leżała jakby między dwoma orzechami kokosowymi. Ale to nie było to. Nie mogłem po prostu tego odnaleźć. Niczego z niej. Z Olgi. U wszystkich tych dziewczyn, jakie przypadek nawiał mi ze wszystkich stron świata do łóżka, znajdowałem zaledwie małą cząstkę tego, czego tak usilnie pożałowałem, za czym jak wariat tęskniłem. Jedną miała jej oczy (prawie jej, oczywiście, w przeciwnym razie już by mi to wystarczyło), inną jej pośladki, jej głos, jej pepek, jej biodra, była pocętkowana piegami na podobieństwo asfaltu Piątej Avenue w Nowym Jorku po paradyzie z coiffetti, jak mój ukochany rudzielec. Ale gdybym nawet założył cały harem z tych cząstek i częsteści Olgi, nie potrafiłbym z takiej rozsypanej lami-główki ułożyć pełnego jej wizerunku. I wtedy przyszło najgorsze. Zaczęłem o tym chrzanić. O niej i o tym nieszczęściu. Jak wygląda. Jej włosy, jej oczy, jeśli byłam bardziej spoufalony, o jej p..., pośladkach, cyaach. Jaka była. Ze pewnego razu czyszcząc zamszem szybę powiedziała: „Czy zauważyłeś kiedy, że parafety mają specyficzny zapach?”. Kiedy zapytałem, czym pachną, ona odpowiedziała: „Mokrym oknem”. Ze kiedyś na samym początku spytałem ją, czy pójdzie ze mną obejrzyć Wiśniewy Sad. A ona zachłannie i żarłocznie na to: „Tak, a gdzie to jest?”. Kiedy jej powiedziałem, że to taka sztuka Czechowa, trochę się zawstydzila mówiąc, że o tym wiedziała, tylko chciała zapytać w jakim teatrze grają. A jestem pewien, co sobie wyobraziła: że to jest sad, w którym za parę guldénów można się najeść wiśni i le dusza zapagnie. Ze w parę dni potem przyniosłem jej dużą torbę majowych czereśni i że się zacerwieńiła, ale palaszując je powiedziała: „To jest najgorsze w całej śmierci. Ze się już nigdy nie będzie jadło czereśni”. Ze któregoś rana leżaliśmy długo w łóżku i pod naszym oknem rozległ się jakiś ostry głos. „Uhu-u-u-u Frits”, na co ona powiedziała: „Ratuj się, komu Frits na imię”. I to o trutniu też często odpowiadałem: „Jakby to było fajnie być trutniem. Gruby brzuszko w welnianym swetrze w paski, na takich dwu skrzydełkach z gazy”. Gdy to opowiadałem, oczy mi napływały łzami (ona miała taki welniany sweter w paski, ale go spaliłem, kiedy odeszła) i wtedy musiałem starać się, żeby nie mrugać, bo wtenczas spływały. Ale zanim do tego doszło, połówkę rączką jednej czy drugiej nieco zwietrzałej kariatydy (z tych podpierających ściany na zabawach) już mnie ze zrozumieniem obejmowały. Bo czego jak czego, ale bezbłędny instynkt w ocenie stopnia wilgotności swoich oczu nie można takim odmówić. I wtedy dopadają ci pikujący łotem jak motyl kielicha kwiatowego pełnego nektaru. Gdybym ja mógł napisać: Widzimy bohatera niniejszej opowieści w tym stadium krzyzysu duchowego, kiedy doprowadzony przez zadumę nad sobą samym i samotność do rozpaczliwego stanu, dostaje silnego przeżyłu w stronę pociesycielskiej damskiej piersi. Gdybym mógł tak ironicznie o tym sobie pisać. O sobie jako bohaterze. Wówczas nie byłbym ofiarą tej historii, a trzymałbym wszystkie sznurki mocno w garści. Ale nie widzę, kurwa mać, żadnego bohatera. Widzę siebie i wszystko, co we mnie jest żalostnego. Z tymi krokodylami łzami i w ogóle. Widzę się na przyjęciu przyciśniętego w kącie do jakiejś starszej kobiety. I nie, żeby od razu jakiś masaż, jakby kto myślał. Czyś ty przypadek syna marnotrawnego. Ona otoczyła mnie pociesycielsko ramionami, podczas gdy za nami wśród niedopałków i rozchlapanych napojów całe to stado wściekłych bawołów galopuje od Rock Around The Clock do Yes Tonight Josephine. I niech mnie kule biją, przecież się nie wyprę, że właśnie toczę śl...y.

CDN

RACHAŁUKUM

Jan Wolkers



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

opowiedziała, że wycięła w dzieciństwie krzesło płótno, bo nasrała tam jej siostrzyczka i że w domu na obrazach wszystkim ludziom ponakludowała oczka, myślałem tylko, że jest grubą i głupią patologiczną kłameczuchą, fantazją. Ale kiedy obudziłem się rano, siedziała wyprostowana koło mnie na łóżku z takim dziwnym blaskiem w oczach i rozdrapaną do żywego mięsa skórą na rękach. Kiedy ją zapytałem, coż na litość boską robiła, ona powiedziała: „A, nasza miła chętna na kawałek skórki”. A do tego wszystkiego jeszcze mnie zdrówko podeszczała. Kalwinka Ewelina, czarne, zabiedzone chucherkę z piersiarkami obwisłymi jak woreczek na datki na tacy i z p... wąską jak serdelka. Całą bożą noc rypałem ją w pocię czoła, żeby pomóc jej przeboleć fatalny rozłam w łonie synodu biskupów protestanckich z 1886 roku. A ta cipa mi rano cedzi przez zacienione uestczka: „Brakowało mi Boga między nami”. Pewnie, że małe trio pomaga na różne rzeczy. Ale w żadnym razie nie wolno było wtedy żartować i mówić, że się jest w tych rzeczach lepszym od Pana Boga, albo złościć jej pytaniem, dlaczego Bóg, jeśli jest wszechmocny, to nigdy nie znajdzie pierwszego jajka czajki, tylko zawsze ktoś inny wręcza je królowej. Bo wtedy się dopiero zrywa burza. Operując wprawdzie niż śmierć kosą cytatami z artykułów wiary podcinała skutecznie poranną pełnopęcherzową erekcję. Kato licza Truus, tłusta od zażerania się rytym mięsem w piątki, a przy głębokich pocałunkach zasobna w ślinę jak kropielnica. Kiedy już wychławszy wszystkiego, co jej leżało na sercu, chciałem ją przelecieć, okazało się, że ma okres. Faktem jest, że mówiła idąc do toalety, że jest boleśnie niedysponowana, ale kto mógł wiedzieć. Myślałem, że ma straczkę. No i za późno się zorientowałem, że stosowała anty-

na plaży między Genuą a Neapolem, podczas gdy między jej mokrymi pośladkami skrzypiał piasek, a po wodzie niosł się zgiełk głosów i arii, jakby morze było najwyższą galerią opery w czasie przerwy. Surinamska mulatka, która była statystką w zespole baletowym z Afryki i straszne katusze cierpięła z tego powodu, że ci czarni jak węgiel skoczki nie uważali jej za coś pełnowartościowego: „Ty w ogóle jesteś nie wiadomo co. Kawa z mlekiem. Du café et du lait”. Która na wszystko co powiedziała miała jedną odpowiedź: „Idź zrobić szybko kupę, idź z tym prędko do toalety”. Która strzeliła do mnie najdziwniejsze uroczę minki przy udziale swojego bardzo ruchliwego noska i nazywała mnie Lubczyk Dupczyk i obejmowała mnie, kiedy w odwet robiłem dzikie miny, mówiąc przy tym: „Potworu, no chodź, dam ci buzi”. Bladolica Wilffe, która się musiała zapatrzyć w fusy od kawy i do mojego atelier przyszła z wózkiem, w którym pod parasolem w białe kwiatki królowało muryzję torbami zakupów uroczę i spokojne muryzniętko. I która mi dokładnie z okazaniem odcinka kasowego wyliczyła, ile jestem jej winien za siekany befszytk, który mój kot fachowo wypakował i zjadł między igrającymi nóżkami dziecka, kiedy myśmy się kochali. Annie, która twierdziła, że nienawidzi wszystkich mężczyzn, a to dlatego, że dawniej jej ojciec, czasem kiedy był nieogolony, brał ją na ręce, mówił, że da jej spróbować kruchego sucharka i szurał swoim szorstkim zarostem o jej policzek. I wybuchł śmiechem, kiedy ze łzami w oczach uciekała.

(Fragmenty powieści wybitnego holenderskiego pisarza w przekładzie Andrzeja Dąbrowski, przygotowanej do druku w PW „Iskry”).

Dzieci KOSMOSU

Przychodzimy i odchodzimy. Przychodzą następni, a po nas pozostaje smuga. Jesteśmy tylko lokatorami planety zwanej Ziemią, uzależnionymi od praw, które rządzą nie tylko światem dostępnym naszym oczom, ale całym wszechświatem — tym bezmiarom przestrzeni, z zawieszonymi w nim planetami, słońcami i księżycami! Wszystko to, trwając w ustalonym od nie-wiadomych czasów porządku, trwa zarazem w ciągłym ruchu, w ciągłej wędrówce.

My — dzieci kosmosu, nie pozostajemy obojętni na to nieustanne wędrowanie i coraz to zmieniające się sytuacje planet. I właśnie usytuowanie ciała niebieskiego i ich wzajemne relacje w momencie naszego przylotu na świat, mają kolosalne znaczenie dla naszego charakteru, zdolności, zamiłowań, usposobienia oraz sposobu współżycia z innymi istotami żyjącymi na Ziemi.



KOBIETY SPOD ZNAKU BYKA

Urodziłaś się w okresie między 21 kwietnia, a 20 maja. Twoim znakiem zodiakalnym jest Byk — pozostający, wraz ze znakami Koziorożca i Panny, w Trygonie Ziemi, zaś Twoją planetą jest Wenus.

Znaki zodiaku grupują się w czterech trygonach: Wodnym, Powietrznym, Ognistym i Ziemi. Twój znak należy do Trygonu Ziemi. Go i wiąże się przede wszystkim ze stałością i stabilnością. Bo co bardziej może być stabilnego, niż ziemia? Wszak od jej powierzchni wszystko nierzeczy się w górę i w dół, na niej wszystko się buduje. Ona nas żywi — i ona przyjmuje na ostatni sen.

Trudno więc wyobrazić sobie jakąkolwiek egzystencję bez ziemi. Jest ona zarazem symbolem spokoju. Nie kiedy jednak wybucha wojkami, albo wszczynają ruchy wewnętrzne siebie, jak gdyby protestowały przeciwko rabunkowej i niszczytelnej działalności człowieka.

Znaki ziemskie, wśród nich Byk, symbolizują przywiązanie do ziemi, a z tym także do wszelkiej własności, oraz krytyczny stosunek do nadmiernej strukturalizacji, jaką człowiek wprowadza na Ziemi. Stąd zapewne w Tobie tyle zachowawczości, niektórzy mówią — wyrachowania. Lubisz wszystko planować, a następne nie realizować konsekwentnie, często z determinacją, nawet wbrew interesom bardziej ogólnym. Nielatwo poddać się wszelkim „strukturam” — czy to fizycznym, czy moralnym. Masz własne idee i własne zdanie — i chcesz, by inni je szanowali.

Konstelacja Byka pojawia się na niebie w miesiąc po pierwszym dniu wiosny. Po zamykaniu markotnym i nieco jeszcze zniechęceni Baranie, właśnie Byk z ogromnym natężeniem zwiastuje nam wiosnę. Przede wszystkim odczuwasz to Ty, będąca bezpośrednio pod wpływem swego znaku.

Jesteś więc kobietą uczuciową i zmysłową, rozciągającą wokół ciepła, kochającą matką i przeważnie zgodną żoną. Byk uosabia nie tylko siłę, ale również stanowczość i cierpliwość. Bierziesz z tych zalet, ile tylko się da, co pozwala Ci w sposób harmonijny utrzymywać stosunki z osobami, na których Ci zależy.

Jeśli dzięki tym przymiotom osiągniesz stanowisko kierownicze, zjednujesz sobie zazwyczaj wielu sympatyków i zwolenników. Umiesz być po kobiecie i łagodna i po kobiecie praktyczna. W sposób ujmujący załatwiasz czasem więcej, niż inni. Niekiedy w pierwszej chwili Twoje pociągnięcia mogą wydać się śmieszne i nierealne, ale już wkrótce okazuje się, że miałaś rację.

Abys jednak nie wpadła w zachwyty nad sobą, przytocz parę Twoich wad. Otóż stanowczość zamienia się czasem w ślepy upór; nieważne wszystko, grunt, żeby postawić na swoim! Twój praktycyzm z lata-

mi zamienia się czasem w konserwatyzm, konsekwencja — w złośliwość, a przywiązanie do ziemi i wszelkiej wartości — w straszliwe skąpstwo. Może się zdarzyć, że uroczna, zdolna i energiczna młoda pani, staje się na starość skąpa, trudna do zniesienia babcią, kłótniwa i mająca wszystko wszystkim za złe. Uważaj, abyś coś takiego nie stało się z Tobą.

Byk nie kontrolujący swych uczuć i nie umiejący powstrzymać emocji wpada niekiedy w stan rozjuszenia i czyni wtedy wiele złego. Ponieważ brakuje mu taktiki i dyplomacji Koziorożca oraz sprytu Panny, każda walka prowadzona z pozycji siły, przegrywa. Dobrze się stanie, jeśli sobie to zapamiętasz!

Urodziłaś się pod wspaniałą planetą, symbolizującą piękno, młodość i miłość, Wenus, to imię czarującej bogini rzymskiej, utożsamianej z grecką boginią Afrodytą, sławioną w poezji, muzyce, malarstwie i rzeźbie. Twoja patronka obdarzyła cię pogodą ducha, uczuciowością, owym ciepłem którego tak bardzo brakuje wielu ludziom. Także wrażliwością na wszystko, co dzieje się dookoła Ciebie. Masz dobry gust, umiesz dostrzec prawdziwe piękno, nawet gdy gołym okiem jest ono niedostrzegalne, cechuje Cię też duży urok osobisty.

Równocześnie jednak po swej pięknej mieniasce odziedziczyłaś próżność, sentymentalizm i przewrażliwienie. Wenus była kochliwa, w czym wpadała w przesadę. Masz więc po niej odrobinę czegoś nienajlepszego, co nie chciałabym nazywać brzydkiem, ale daruję: jest to wulgarność, brak taktu i nachalność. Czasem nie śmiała, czasem właśnie nachalna — myślę o sytuacjach damsko-męskich, to właśnie Ty! Wstrzegaj się takich zachowań, mężczyźni tego nie lubią.

Jeśli szukasz towarzystwa dla siebie — męża, kochanka, przyjaciela, rozejrzyj się wśród panów spod znaków zodiakalnych, należących do trygonów — przede wszystkim Powietrznego (Bliźnięta, Wodnik, Waga) i Wodnego (Skorpion, Rak, Ryby), o stateczności Ognistego (Baran, Lew, Strzelec). Odradzam Ci jednak stanowczo nawiązywanie dłuższych związków z mężczyznami spod znaków ziemskich, tj. Panny, Koziorożca i Byka!

Powietrze stymuluje ziemię, wnika w nią i ją użyźnia. Z kolei ziemia wydziela ją z siebie zapachy i fluide, wzbogaca powietrze. To właśnie ziemia wraz z rosnącymi na niej roślinami sprawia, że powietrze jest dobre i korzystne dla człowieka, lub nie. Tak czy owak ze związku powstaje z ziemią wynika dużo dobrego.

Ziemia z wodą nawzajem się uzupełniają. Z pomocą wody ziemia daje plony. Z pomocą ziemi woda zatrzymuje się w odpowiednich zbiornikach. Przy dobrej, harmonijnej współpracy, z kontaktów tych bierze się nieustannie duży pożytek. Po prostu — powstaje i utrzymuje się — życie.

Między ziemią, a ogniem trwa permanentny konflikt. Mimo to osoby pozostające pod bardzo silnym wpływem znaków ognistych potrafią bardzo pięknie inspirować swych towarzyszy spod znaków ziemskich.

Natomiast połączenie ziemi z ziemią jest całkowicie niekorzystne. Z obu stron dochodzi do zasklepienia się, zamknięcia i jakiegokolwiek porozumienia się jest niemożliwe. Następuje egzystencja monotonna, bez iskry połotu, pomysłu, nowości.

Kobiety nie lubią podawać daty urodzenia, toteż w encyklopediach i almanachach przy sławnych paniach nie znalazłam Twojego znaku! Ale nożę Cię zainteresuje, że według starego, rzymskiego kalendarza sześć świątym dniem dla osób urodzonych pod planetą Wenus, jest piątek, zaś w miłości najszybsze będą z partnerem urodzonym pod planetą Mars (patronującą znakowi Barana). Ale czy to można wierzyć?...

W następnym numerze „Nadodrza” odcinek dla panów urodzonych pod znakiem zodiakalnym Byka i w Trygonie Ziemi, pod wpływem planety Wenus.

EWA FOSS

Po oczach reżysera Janusza Kozłowskiego widać było, że coś knuje. Ale efekt przeszedł oczekiwania. Takiego przedstawienia chyba nikt się nie spodziewał. Najmniej, jak sądzę, panie polonistki, towarzyszące na premierze swym uczniom z licealnych klas.

Już na samym początku, przy zamkniętej kurtynie, gdy zaczyna brzmieć muzyczny prolog wzięty z Carlosa Santany, widza ogarniają wątpliwości. Może to nie ta sala, nie ten afisz? A może tam, za kulisami przypadkiem coś pomyłono? Wzięto nie tę taśmę, co trzeba?

BAL LADY NA: lady imieniem Na wydaje bał. BAL LADYNA: bał wydała jąś Lady. BALLADY NA: zapewne chodzi o utwory będące dziełem koś o nazwisku Na. Te igraszki z tytułami, który przywykło się kojarzyć z wiekową powagą dzieła i autorytetem wieszczki, mówią coś o stosunku twórcy przedstawienia do sławnej tragedii.

Igraszki można znaleźć w programie, którego przeczytanie doradzałabym każdemu widzowi przed obejrzeniem spektaklu. Jest tam tekst pt. „Wpuszczanie w maliny czyli list reżysera do szanownej publiczności”, a w nim nauki:

— że przedstawieniem teatralnym, jak samym życiem, trzeba umieć się cieszyć;

— że umiejętność tę można osiągnąć przez maksymalnie intensywne uczestniczenie we wszystkim, co życie niesie, także w sztuce, w tym sztuce teatralnej.

Ucz się więc szanowna publiczności — jakakolwiek w teatralne progi przybiedz, a zwłaszcza ucz się ty — droga młodzieży, albowiem jesteś cokolwiek uboga w wiedzę, zarówno o sztuce życia, jak i o życiu sztuki, tudzież we wszelkie umiejętności z tym związane. Jest to zresztą rzecz zrozumiała, gdyż wszystko to człowiek zdobywa z wiekiem. Ucz się młodzieży, bowiem braki te odbijają się na tobie młodym obliczu, nieczęsto wesołym w porównaniu z obliczem pokolenia starszych, już umiających cieszyć się na wet byle czym, nie mówiąc już o radości z samego faktu istnienia!

Nie należę do ubogiej młodzieży już, a do bogatych starszków jeszcze, toteż zachowałam na przedstawieniu właściwy memu pokoleniu nastrój radości umiarkowanej. Aż do finału, w którym na scenie zaczęło się dziać bardzo dużo i śmiesznie.

Przed wszystkim Balladyna dotknęła ręką sprawiedliwości fiknęła k o z i a do tyłu — i potem długo nie dawała znaku życia. Wszyscy już są na scenie, nawet rekwizytor, elektryk i suflerka, jest nawet sam autor — w swej słynnej koszuli z charakterystycznym kołnierzykiem „Słowackiego”, za chwilę finałowy ukłon — a tytułowej bohaterki nie ma! A może to jakiś figiel reżysera, widzów w maliny, a Balladynę pod podłogę? Nie! Jest wreszcie cała i zdrowa! No, wszystko w porządku.

Przywołany przez aktorów wchodzi na scenę reżyser, który dotychczas się dala od widowni. Ma minę szalenie poważną, a w rękach dary otrzymane od wdzięcznej publiczności: ustrojoną palmę — wszak nazajutrz wypadała niedziela palmowa — i świętomikołajową torbę wypchaną słodyczami firmy nomen-omen „Goplana”. Jedź sobie reżyserze — i dyktujecie artystyczny w je dnej osobie, niech ci wyjdzie na zdrowie, a teatrowi na pożytek!

Śmiałam się do rozpuku przekraczając swój pokoleniowy umiar. Śmiała się starszowie, śmiała się także młodzież.

Ale nim nastąpił ten szampański konie, przedstawienie kołysało się nierówno od sceny do sceny. Konwencję żartu przerywały brzmienia serio i dosłowne, choć niewykluczone, że przez reżysera zamierzone i przewidziane. Niektóre kwestie podane zostały w szalonym tempie staccato, całkowicie nieczytelnie. Gdzie indziej dawały się odczuć nużące dłużyżny, wypełnione mało ważnym dla całości dialogiem. Myślę, że ten wie czór z Balladyną zyskałby przez skrócenie go co najmniej o dwadzieścia minut.

Balladynę, najpierw krzepką dziewczkę z ludu, później panią na zamku, odwiera Sigris Siewior, aktorka posiadająca



WPUSZCZANIE W MALINY

ca idealne warunki do tej roli. Jednak lepiej czuje się jako bogata grafini, niż córka ubogiej wdowy. Świe tna jest zawsze, gdy przychodzi jej wy grywać podstęp, zdradę, intrygę, przebiegłość, słowem — wszelkie sprawy nieczyste, zwłaszcza gdy może czynić to z przymrużeniem oka, co też w tej inscenizacji zostało jej dane.

Natomiast błada dosłownie i w prze nośni, druga z siostr, Alina, łącząca w sobie wszystkie cnoty polskich dziewczec, ginie w gronie postaci pierwszo i drugoplanowych, dość mocno zarysowa nych (rolę tę gra Aldona Paczkowska).

Kirkor pokazany został jako niecier pliwy wesołek. Nie ma w nim nic z wielkiego pana i dzielnego rycerza. Dlatego też grającego tę rolę Wojcie cha Romanowskiego przesłania Andrzej Kietliński wcielony w postać Von Kostryna, męski, dostojny i służ nej postury.

Tadeusz Bartkowiak przebrany za Pustelnika wrzusa do łez, gdy wygło siwszy co ma do wygłoszenia, wyprow adza się ze sceny, ciągnąc za sobą



Goplana, rudowłosa ninfka z jeziora, zakochana w człowieku imieniem Grabiec... (Irena Wójcik i Michał Świąta).

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

swą budkę pustelniczą na kółkach. Uboga wdowa w wykonaniu Iwony Ko tzur wydaje się najbliższą pierwowzoro wi. Fakt, iż będąc ubogą występuje w stroju przeczącym jej sytuacji finan sowej, a potem jako teściowa bogatego hrabiego ma na sobie podarte lachy, da je wiele do myślenia. Jak to pozory mo gą mylić, prawda?

Trafnie zagrana przez Jacka Jackowi cza sympatyczna postać Filona uosabia zagubienie człowieka w marzeniach, fantazjach i sentymentach, nie konkret nego nie dających.

Piękna, rudowłosa Goplana, pół wio łkiego wampa, pół znerwicowanej, współczesnej Lolliki, kolorowa i kobie ta, to Irena Wójcik, Małgorzata Wower jako Skierka daje pokazy akrobacji, a towarzyszący jej Sławomir Krzywiń niak jest leniwym i ospałym Chochli-

kiem, którego chciałoby się poglaskać. Miła i zabawna to para.

W roli Grabca Michał Świąta — po prostu bardzo dobry!

Przed laty widziałam „Balladynę” w inscenizacji Adama Hanuszkiewicza, u znanej wówczas za odkrywcę, wręcz re wolucyjną, z sensacyjnym rekwizytem: motocyklem marki „Honda”, na którym wjeżdżała na scenę Goplana — Bożena Dykiel. Motocyklistami byli także Skier ka z Chochlikiem. „Ile przedstawień, tyle reżyserskich koncepcji” — zastrze ga się Janusz Kozłowski.

A czymże jest jego koncepcja: kome dia, pastiszem? „Szarganiem świętości”? Sceniczna kpiną z nadmuchanych alego rii, patetycznych westchnień i nado gdańskich gusiel? Może również z utar tych, schematycznych prawd, wyznacza jących najprostszą podział ludzi: na dobrych i złych? Z a b a w a?

Myślę, że wszystkim po trochu. A wpadając reżyserowi w słowo, dodam: ilu widzów, tyle różnorakich wersji od bioru sztuki!

Całość rozgrywa się wśród zgaszo nych barw, na niezwykle malarskim, do brym dla oka tle, przy nieoczekiwa nych rozwiązaniach scenograficznych. I te rekwizyty — od bukietu owinięte go w folię, po pewekowską puszkę z pi wem! Widać rękę artystki najwyższej klasy, jaką jest Barbara Wolniewicz.

Swoje też robi muzyka, zaiste nie zwyczajna, w której pobrzmiewa sobie gitara mistrza Santany na przemian z grunwaldzką „Bogurodzicą”, oraz frag menty Vivaldiego na przemian z prze bojem — 89 Mc Ferrina „Don't worry be happy”, co znaczy „nie martw się, bądź szczęśliwy”...

„Nareszcie mamy kawałek dobrego teatru!” — powiedział wychodząc ktoś, kto od lat ogląda każdą premierę w tym teatrze. „Wyraźnie były aluzje do współczesności” — dodał ktoś drugi. Ktoś jeszcze inny wyraził przypuszcze nie, że zapewne Słowacki przewraca się w grobie, na co mu odpowiedziano słu sznie, że nie tylko on...

camera filatelistica

W Republice Federalnej Niemiec, ale nie tylko, egzystują liczne drukarnie wyspecjalizowane w drukowaniu znacz ków pocztowych i bloków, które dawno straciły już moc obiegową. Druki te wykonywane oczywiście na zlecenie są bardzo precyzyjnie sporządzane i tylko wybitny fachowiec może odróżnić oryginał od tego nowego druku. Aby nikt nie zarzucił drukarzom, że dokonują fałszerstw znaczków, na każdym egzemplarzu znajduje się na odwrocie bla doszary napis „NACHDRUCK” (dodruk). Z tych egzemplarzy korzystają zarówno firmy filatelistyczne wręczające tego ro dzaju produkty jako nagrody za zakup znaczków. Także pisma filatelistyczne nie stronią od tego rodzaju premii za roczny abonament.

Dla jednego z mieszkańców Bad-Gode sberg, znanego w świecie filatelistycznym doradcy i eksperta (choć nie rejestrowanego w żadnym związku fi-

WIELKA AFERA

latelistycznym) nie stanowiło trudności chemiczne usunięcie napisu „Nach druck” i wprowadzenie takiego druku na rynek jako oryginalnego waloru fi latelistycznego. Coraz częściej pojawiają ce się takie znaczki groziły poważnym firmom filatelistycznym, bo okazały by li wyjątkowe, a nie zawsze znalazł się pod ręką specjalista, który mógłby wy dać właściwą ekspertyzę. Po nitce do kłębka rozszyfrowano przedsięwzięcie „doradcy” i kiedy policja dokonała re wizji, w jego domu znaleziono ponad 25.000 sztuk sfałszowanych w ten spo sób znaczków i bloków szczególnie nie naturalnie oryginalnych walorów. Mie dzy innymi znajdowały się tam bloki dobroczynne Rzeszy Niemieckiej wyda ne w 1933 r. (nr 2) zarówno czyste jak i stempiowane a nawet na listach, licz ne egzemplarze serial „Goethe” (Berlin Zachodni), fałszerstwa wydań niekto-

rych znaczków Radzieckiej Strefy Oku pacyjnej, jak blok wydany w 1945 r. na Boże Narodzenie w Turyni, czy sławny znaczek dreźnieński 12 fen. „Po czta” lub blok „Goethe” z 1949 r., a na wet blok „Debria” (NRD) z 1950 r. Nie które z tych walorów znajdowały się w ilościach od 200 do 1.000 egzemplarzy. Według wstępnych szacunków wartość ujawnionych fałszerstw przekracza 8 mln marek. Ale to nie zaspakało am bicii fałszerza. Produkcował również ca łości z pierwszych lat wprowadzenia znaczków pocztowych np. listy z Ba warii zaopatrzone zarówno w sfałszowa ne znaczki nr 1 jak i sfałszowane os tempiowania. To zostało dokładnie przez policję ustalone i zaewidencjonowane. Ile innych sfałszowanych walorów fi latelistycznych zostało sprzedanych, ile z nich znajduje się w Republice Fede ralnej Niemiec, a ile w innych krajach — trudno ustalić.

Sfałszowane walory filatelistyczne przedostały się prawdopodobnie rów nież na rynek polski, gdyż znaczki państw niemieckich są u nas dość liczie nie zbierane. Radzę wszystkim przebie rzec dokładnie swoje zbiory i uzyskać atesty na wartościowe walory.

M. Sławomir

12.IV – ŚRODA

PROGRAM I

8.35, 10.50 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Dziki psy” — film fab. prod. kub.
12.00, 12.50, 13.30, 14.00 — Programy szkolne
16.00 Losowanie Express i Super Lotka
16.10 „Scena TDC”
16.35 Dla dzieci: „Wyprawy prof. Ciekawskiego”
17.00 Studio Sport — mecz piłki nożnej: Polska — Rumunia, ok. — 17.45 Teleexpress (w przerwie meczu)
18.50 Dobranoc: „Plastusiu pamiętnik”
19.00 „10 minut”
19.10 Relacja ze zjazdu kółek rolniczych
20.05 „5 minut przed gwizdkiem” — film fab. prod. pol.
21.30 Bogusław Klimczuk — kontynuacja „Raport”
22.35 „Rozmyślenia prof. Mariana Stępnia”
23.05 Język rosyjski (24)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (24)
17.30 „Wiem wszystko” — teleturniej
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn reporterów programu 2
19.00 „II Rzeczpospolita nieznana” — Stalowa Wola i inne miasta COP-u
19.45 „Etiopia” — pr. dokumentalny
20.15 „Klucz do nowej muzyki” — o twórczości K. Moszumańskiej-Nazar
21.05 „Opolskie Konfrontacje Teatralne”
21.45 „07 zgłoś się” (15) — s. kryminal. TP
23.00 „Telewizja noc”
23.55 Komentarz dnia

13.IV – CZWARTEK

PROGRAM I

8.05, 13.30, 14.00 — Programy szkolne
8.35, 10.25 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.25 „Osmiornica” (5) — s. sensac. prod. wł.
10.55 „Magazyn wspomnień”
16.05 „Polskie zdroje” — Muszyna
16.25 „Kwant” — oraz film z serii: „Edisonowie”
17.30 „Poligon” — woj. mag. publ.
17.55 „Jaki będzieś prezydentem” (2) — program publicystyczny
18.20 „Sonda” — „Królestwo szkła”
18.50 Dobranoc: „Przygody rozbójnika Rumcajsa”
19.00 „10 minut”
19.10 „Teraz” — Tygodnik gospodarczy
20.00 „Osmiornica” (5) — wł. s. sens.
21.05 „Pegaz”
21.55 „Ludzie Rodła” — film dok.
22.15 „Prezydenci”
23.05 Język francuski (24)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (24)
17.30 „Do szkoły pod górą”
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 „Strachy na Lachy” (3) — s. anim. prod. angielskiej
19.30 Kino „Puls”
20.00 Wojciech Fanger — rozmowy o marlarstwie
21.00 „Ekspres reporterów”
21.45 Kino Studyjne „Dwójki” — „Zaskoczyła mnie noc” — film prod. CSRS
23.55 Komentarz dnia

14.IV – PIĄTEK

PROGRAM I

8.35 „Domator”
8.50 „Domowe przedszkole”
9.40 „Sto pierwszy” — (cz. 2-ost.) — film fab. prod. ZSRR
11.10, 12.00, 12.50, 13.30, 14.00, 15.10 — Programy szkolne
16.05 „Mieszkań” — Wszelchnia budowlana
16.25 Dla młodych widzów: „Rambit”
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankraciego”
17.30 „Gospodarka dla ludzi” — pr. public.
17.50 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 „Trakt pamięci” — film dok. TV
18.50 Dobranoc: „Sąsiedzi”
19.00 „10 minut”
19.10 „Monitor rządowy”
20.05 „Anna tysiąca dni” — dramat hist. prod. angielskiej
22.5 „Czas” — magazyn publicystyczny
23.15 „Ludzie przeciw sobie” — „II wojna światowa — 39-45” (2) s. dok. prod. francuskiej

PROGRAM II

16.55 Język angielski (53)
17.30 Wzroczowa lista przebojów Marka Niedzielskiego”
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „Luz”
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.30 „W labiryncie” (15) — serial TP
19.30 „Dookoła świata” — „Z pocztynionem”
20.00 Magazyn „Piątek”
21.45 „Jedno życie” — widowisko wg Anny Achmatowej — muz. A. Zaryckiego
22.25 Komentarz dnia
23.30 Światowe muzyczne nagrody video

15.IV – SOBOTA

PROGRAM I

7.00, 7.30 Programy szkolne
8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie
9.00 Drops — oraz w kinie Dropsa: „Fragglesi” (35) — serial prod. ang.
10.40 Stare nowe, najnowsze
11.25 Bellona — woj. mag. publ.
12.05 Telewizja prowincja
12.35 Telewizyjny Teatr Prozy: Walery Biliusow — „Natalia”, reż. K. Lang
14.20 Do trzech razy sztuka — pr. z udziałem aktorów, dziennikarzy i sportowców

PROGRAM I

9.55 Transmisja z otwarcia obrad XIV Kongresu Stronnictwa Demokratycznego
13.30, 14.00, 15.00 — Programy szkolne
16.05 „Vademecum konsumenta” (1)
16.25 „Luz” — program nastolatków
17.30 „Vademecum konsumenta” (2)
17.40 „Echa stadionów”
18.30 „Laboratorium”
18.50 Dobranoc: „Gugnel i listonosz”
19.00 „10 minut”
19.10 „Gorące linie”
20.05 Teatr Telewizyjny: Tomasz Mann — „Wielki Peeperkorn” wg „Czaro-

14.55 Komedia, komedia, komedia... „Wyście awaryjne” — pol. film fab. w reż. Romana Zaluskiego
16.20 Losowanie Dużego Lotka
16.30 Trzy rundy — pr. publicystyczny
17.30 „Portrety: Maria Kuncewiczowa, wspomnienia o ludziach, książkach i zdarzeniach” — film dok.
18.35 „Butik” — pr. Grażyna Sześciński
19.00 Dobranoc: „Jeż Kleofas”
19.10 „Z kamerą wśród zwierząt”
20.05 Sobotni seans filmowy — „Przybywa jeździec” — western prod. USA z Jane Fonda w roli głównej
22.00 Tydzień w polityce
22.10 Telewizyjny przegląd sportowy oraz MS w hokeju na lodzie — mecz: Szwecja — Polska
22.50 Rec. Małgorzaty Ostrowskiej i zespołu Lombard
23.35 „Klub filmowy: F.I.S.T.” — film fab. prod. USA; reż. Norman Jewison; wyk. S. Stallone, R. Steiger i in.

PROGRAM II

14.05 „W świecie ciszy”
14.25 Telewizyjny koncert zyczeń
15.00 Zwierzęta świata „Opowieść o szpie” — film przyrodniczy prod. USA
15.25 „Spektrum”
15.40 „Meandry architektury”
16.00 „Spotkania z Maciejem Hłowieckim”

18.IV – WTOREK

PROGRAM I

8.35, 10.40 Domator
8.50 Domowe przedszkole

dziejskiej góry”: Obraz I — „Castrop”; Obraz II — „Abdykacja”, reż. Tomasz Zygałdo
22.15 Studio XIV Kongresu SD
22.30 „Vademecum konsumenta” (3)
23.05 Język niemiecki (23)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (23)
17.30 Antena „Dwójki”
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 „Czarno na białym” — przegląd PK
19.10 „Tele-Trans”
19.30 „Muzyka kościółów”
20.30 Uwaga, dokument
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.45 „Rzeźby Andrzeja Renesa w Galerii Brama”
22.00 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie” (2) — serial prod. franc.
23.00 Komentarz dnia

21.IV – PIĄTEK

PROGRAM I

8.05, 12.00, 13.30, 14.00, 15.10, 15.30 — Programy szkolne
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.40 „Pusta klatka” — film TP
16.05 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie: Polska — Finlandia
17.35 Z Polski rodem — mag.

PROGRAM II

16.55 Język francuski (25)
17.30 Rodzice i dzieci
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn 102
19.00 „Strachy na Lachy” (4) — s. anim. prod. ang.
19.30 Puls — program medyczny
20.00 „Przeboje Odeonu” — pr. rozr.
21.00 Ekspres reporterów
21.45 Studio Teatralne Dwójki: S. Bieniasz „Stary portfel”, reż. K. Kutz.
23.10 Komentarz dnia

23.IV – NIEDZIELA

PROGRAM I

9.00 Teleranek oraz w kinie Teleranka: „Szwajcarscy Robinsonowie” (24)
10.20 Studio Sport: Biegi przełajowe w Ostrzeszowie
10.55 Wspólnota Pacyfiku (8-ost.) — serial dok. prod. ang.
12.00 Poranek Sympfoniczny
13.00 Telewizyjny koncert zyczeń
13.45 Teatr dla Dzieci: Kornel Makuszyński — „Koziołek Matołek”, reż. Z. Rej
14.35 „Pieprz i wanilia”
15.20 Fotomagazyn „Powiększenie”
15.40 „Katarzyna” (4) — serial prod. franc.
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat
18.10 Pałace polskie — Dobrzyca
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: „Smurfy”
20.05 „Hoover przeciw Kennedy” (1) — film prod. kanad.
20.55 „Raport — 7 dni”
21.05 Sportowa niedziela oraz relacja z MS w hokeju na lodzie
22.05 Portrety: „Żywiol słowa i dźwięku” — film dok. o prof. Witoldzie Rudzińskim

PROGRAM II

9.55 Przegląd tygodnia dla niesłyszących
10.30 Film dla niesłyszących „Hoover przeciw Kennedy” (1) — film prod. kanad.
11.15 Krótkofalowiec
11.45 Jutro poniedziałek
12.20 Kino rodzinne: „Powrót na Wyspę Skarbową” (1) — film prod. ang.
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy” — film dokumentalny
14.40 „Z harfą przez stulecia” — gra Anna Sikorzak-Olek
15.10 Podróże w czasie i przestrzeni: „Po więzienia” (10-ost.) — serial dok. prod. ang.
16.05 Gawęda prof. Wiktora Zina
16.20 Non stop kolor: „Voo-Voo i przyjaciele”
17.15 „Aktualności kulturalne — polska muz. na Litwie”
17.30 Bliżej świata — przegląd TV sat.
19.00 Program publicystyczny
19.30 Galeria 37 milionów
20.00 Stereo i w kolorze
21.00 Program publicystyczny
21.45 „Wichry wojny” (6) — s. prod. USA
23.55 Komentarz dnia

24.IV – PONIEDZIAŁEK

PROGRAM I

13.30, 14.00, 15.30 — Programy szkolne
16.05 Program publicystyczny
16.25 Luz — program nastolatków
17.40 Echa stadionów
18.30 Laboratorium
18.50 Dobranoc: „Wierni przyjaciele”
19.00 „10 minut”
19.10 Gorące linie
20.05 Teatr Telewizyjny: Nikolaï Erdman „Samobójcy” reż. K. Kutz.
22.40 Spory — pr. publicystyczny
23.30 Język niemiecki (24)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (24)
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 „Czarno na białym” — przegląd PKF
19.10 „Tele-Trans”
19.30 Muzyczne wizyty: A. Harasiewicz
20.00 Koncert poświęcony K. Konieckiemu
21.45 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie” (2) — serial prod. franc.
22.45 Komentarz dnia

25.IV – WTOREK

PROGRAM I

8.05, 12.00, 12.50, 13.30, 14.00, 15.30 — Pr. szkolne
8.35, 10.25 Domator: Rady na życzenie. Chce schudnąć dla zdrowia i urody
8.50 Domowe przedszkole
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (4) — serial obyczajowy prod. CSRS
16.00 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie
18.10 Dla dzieci: Tik-Tak
18.30 Klinika zdrowego człowieka
18.50 Dobranoc: „Dwa małe trzmielce”
19.00 „10 minut”
19.10 Telewizyjny Klub Konsumentów „Stop”
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (4) — serial obyczajowy prod. CSRS
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 Leksykon polskiej muz. rozr.
22.10 Sprawa dla reportera
23.10 Język angielski (25)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (25)
17.30 „Szokujące nowości” — U progu szt. i współczesnej (7) — s. dok. prod. angielskiej
18.00 Program lokalny
18.30 „Epopeja Czerwonego Krzyża” (3) „Powrót wojny” — serial dok. prod. szwajcarsko-francuskiej
19.30 Studio Sport: Magazyn żeglarski
20.00 Non stop kolor — magazyn
21.00 Na warsztacie historyka: prof. dr Andrzej Ajnekiel
21.45 „Krew i honor” (2) „1934-1936” — serial prod. RFN
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie: Finlandia — RFN

Redakcja nie odpowiada za zmiany w programie dokonywane przez TVP w ostatniej chwili.

dwa tygodnie z TV

12-25 kwietnia 1989 r.

Codziennie: 17.15 — Teleexpress, 9.15, 19.30 — Dziennik (pr. I), 21.30 Panorama dnia (pr. II)

9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (3) — „Powrót” — s. ob. prod. CSRS
12.50, 13.30, 14.00, 15.25 — Programy szkolne
16.00 „Adwokat z Old Bailey” (6-ost.) — serial prod. ang.
17.10 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie CSRS — Polska
18.50 Dobranoc: „Dwa małe trzmielce”
19.00 „10 minut”
19.10 „Od A do Z” — „M — jak mleko”
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza” (3) — „Powrót” — s. ob. prod. CSRS
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 Po debiucie — wyd. spec. — pr. rozr.
22.10 Studio XIV Kongresu SD
23.00 Język angielski (24)

PROGRAM II

16.35 Język angielski (24)
17.30 „Szokujące nowości” (6) — s. dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn rozrywkowy
19.30 Studio Sport
20.00 „Epopeja Czerwonego Krzyża” (2) — „W czasie pokoju jak na wojnie” — serial prod. szwaj.-franc.
21.00 Powtórka z historii: B. Bierut (2)
21.45 „Krew i honor” (1) „Rok 1933” — serial obycz. prod. RFN
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie Kanada — USA

19.IV – ŚRODA

PROGRAM I

8.35, 10.55 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.25 „Gwiazdooki” — film fab. prod. weł.
12.00, 12.51, 13.30, 14.00, 14.30 Programy szkolne
16.05 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie: ZSRR — Polska
17.35 Spożrzenia
18.05 Telewizyjny Informator Wydawniczy
18.20 „Dawniej niż wczoraj — Archiwum XX wieku”
18.50 Dobranoc: „Plastusiu pamiętnik”
19.00 „10 minut”
19.10 Program publicystyczny
20.00 Raport
20.25 Studio Sport — półfinał Pucharu Europy w piłce nożnej AC Milan — Real Madryt
22.20 Studio XIV Kongresu SD
23.10 Język rosyjski (25)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (25)
17.30 ABC — teleturniej
18.00 Program lokalny
18.30 Ze wszystkich stron — mag.
19.00 Polacy — film dokumentalny
19.30 „Muzyczne wizyty” — Christos Savvo poulous (gitarra)
20.00 „07 zgłoś się” (16) — serial krym.
21.45 Telewizja noc
22.30 Studio Sport: MS w hokeju na lodzie: USA — CSRS
23.30 Komentarz dnia

20.IV – CZWARTEK

PROGRAM I

8.05, 10.20, 11.10, 12.00, 12.50, 13.30, 14.00 — Pr. szkolne
8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.25 „Osmiornica” (6) — s. sens. prod. wł.
16.05 Polskie zdroje — Szczawnica
16.25 Kwant oraz film z serii „Edisonowie”
17.30 Raport — Sensacje
17.55 Kalejdoskop wojskowy — mag.
18.20 Sonda
18.50 Dobranoc: „Przygody rozbójnika Rumcajsa”
19.00 „10 minut”
19.10 Teraz — Tygodnik gospodarczy
20.05 „Osmiornica” (6) — s. prod. wł.
21.05 Pegaz
21.55 Studio XIV Kongresu SD

PROGRAM II

14.35 Bariery
15.00 Małe kino: Miasta świata: Ateny, Ateny” — film dok.
15.30 5-10-15 — pr. dla dzieci i młodz.
17.00 „Godzina z Krystyną Jandą”
18.00 Program lokalny
18.30 „Wielka gra”
19.30 „Zwierzęta wokół nas”
20.00 Studio Sport
21.00 W podwójnej roli K. Jakowicz — program muzyczny
21.45 „Chłopczyca”, cz. 1 — f. fab. prod. fran.
23.15 Komentarz dnia
23.20 „W labiryncie” (16) — serial TP

nadodrze

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — Pismo Lubuskiego Towarzystwa Kultury

Adres redakcji: Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalina, 13 I piętro oraz dla korespondencji: 65-938 Zielona Góra 8 skrytka pocztowa 10 Telefon: redakcji: naczelnicy 708-33 (cz. red. naczelnego) 70-13 oraz centrala 46-61 do 67 (cz. red. telefony wewnętrzne) Telex 0432233. REDAGUJE KOLEGIUM; Halina Łukasz-Skarbek, Janusz Koniusz (red. naczelnego) Zenon Łukaszewicz (z-ca red. naczelnego), Wiesław Nodzyński, Ry-

szard Rowiński oraz Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.) Korieta, Maria Fiedorowicz, Sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska, WYDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch” Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego Al. Niepodległości 35 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 31 Centrala telefoniczna: 46-61 do 67 Dyrektor naczelnicy: Zbigniew Pietkiewicz, tel. 717-95 DRUK: Drukarnia Prasowa ZWP 65-078 Zielona Góra ul. Reja

OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka-Ruch” na terenie kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada Materiałów (tekstów i zdjęć) nie zamówionych redakcja nie zwraca W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótnów i zmian tytułów K-20

Oddawanie koszuli

Powiedziano kilka ciepłych zdań stosownych do okoliczności. Klapy marynarek zasłużonych przyozdobiono błyszczącymi ozdóbkami, zaś inni, nieco mniej zasłużeni, pobrali koperty i za nimi właśnie ganiała kasjerka zbierająca autografy. Potem była cisza. Nic. Wszyscy uczestnicy imprezy, gospodarze państwowego gospodarstwa rolnego i żniwiarze, którym dziękowano za trud, czuli się jak ryby wyrzucone przez fale na piaszczysty brzeg.

Kryzys święta płonów, uroczystości leżącej parę tysięcy, zaczął się w PRL od momentu, gdy programowi abstynencji z lewa i prawa zawiązali sojusz. Nawet koń, który wyrwał sobie szczękę, po to, by nie być podobny do pewnej pieśniarki, swoim artystycznym występem, nie zaskąpił kilku flaszek piwa. Odtąd, to. Bealkoholowe dożynki we dług pojmowania naszego ludu, dożynkami nie są. Są jeszcze jedną oficjalną. Zrozumiał to sojusznik z prawa. Na ten dzień odożywszy zasady, doktryny i na swoich włościach zorganizował dożynki takie jak pojmują je lud. Na bok odożył ustawy. I o dziw. Nikt się nie upił, choć okazja była.

Polityczni nauczyciele, jak ich pamiętam z lat młodości, nie da się ukryć, traktujący każdego baka puszczanego przez Józefa Wissarionowicza jako ostatni wyraz ludzkiego geniuszu, pachnącego odiekołomem w sprawie trunków, prezentowali postawę umiarkowaną. Powiadali oni, że pić można, jeśli okazja jest godziwa. — Jeśli ludzie piją po pochodzie pierwszomajowym — mówili, to znaczy, że międzynarodowe święto proletariatu zostało przyjęte przez naród, uznane za swoje, zaaprobowane.

Była w tym stwierdzeniu pewna ludzka mądrość.

Jako absolwent kilkudziesięciu akademii pierwszomajowych, oraz ich następstw w postaci pochodów — godzin wystawiania w określonym punkcie miasta („— Towarzysze! kultura na końcu!”), snucia się po jezdniach w temple jazdy wózka inwalidzkiego, nagłego sprintu przed różnymi osobami, mniej lub bardziej lubianymi, stojącymi na podwyższeniu z lekką zadyszka, udało

mi się na z góry upatrzoną pozycję. Byli koledzy a na stole stało to, co stać powinno. Tak było aż do momentu, gdy antyalkoholowi ekstremiści z lewa i prawa zajęli się w sposób urzędowy odejmowaniem nam od ust kieliszków. Po raz pierwszy, gdy się to wydarzyło, niejedna żona załamała ręce na widok trzeźwego męża powracającego z pochodu pierwszomajowego. Zawalila się znormalizowana wizja pewnego świata.

Moje święto stało się oficjalną. Historia polskiego ruchu robotniczego niejedną pochód pierwszomajowy zapisała na swoich kartach. Były pochody rozpędzane kozackimi szarżami, finałami w postaci rozpraw sądowych zakończonych zsyłkami na białe niedźwiedzie. Były pochody z rozgrzewającymi serca i umysły odezwami. Ich autorem był nie byle kto, bo wybitny polski stylista Józef Piłsudski, jeszcze socjalista, do „Solidarności” zapisany kilkadziesiąt lat później. Była krew na kocich łbach. Były też pochody nieodbyte. Członkowie partii polskiej lewicy razem z rodzinami wyposażonymi w koszyki z walówką udawali się na łono przyrody. Wystawiano czujki, półgłosem śpiewano Międzynarodówkę. Pierwsze mające dęte, sztywne, z bukietem w ręku, Tadeusz Cegielski z głosem wytrętanym na stadionach żużlowych, traktujący pochód pierwszomajowy na ulicy Westerplatte w Zielonej Górze jako finał zwycięstwa pokoju, bez opamiętania gratulujący hutnikom z Głogowa w azbestowych kapeluszach, brygadziom z „Zastalu”, przodującym paniom przedszkolankom. I powiedziano: Chwaci!

W różnych miastach z inicjatywy instancji partyjnych organizowano badania opinii publicznej na temat pochodu pierwszomajowego. Choć wypowiedzi na ten temat nie mają jednoznacznego charakteru, wielu godzi się stać, snuć godzinami, po to by finishować ostrym sprintem, bo tego dnia to lubią, setna rocznica międzynarodowego święta ludzi pracy, obrodziła odnowicielskimi inicjatywami. Instancje Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — takiej samej ale innej, w sytuacji gdy wszyscy: studenci, opozycjoniści, reakcjoniści, be diuni ideologiczni, zieloni i pomarańczowi

wi pchają się na jezdnie, rezygnują z pochodów pierwszomajowych! Być może nagłe osłabienie, trudności z doboru personelu na trybunę, popychając ku formom bardziej kameralnym. Akademii można obejść dłuższym referatem, występem konia, który nie śpiewa, za zaproszeniami, w kameralnym gronie samych swoich. Można dyskretnie sobie powracać medale i ordery. Idąc w kameralność, przewiduje się składanie kwiatów pod pomnikami. Zaś ludowi organizuje się stoiska z kiełbaskami, piwo (!), kiermasze książek, jeśli wydawcy nadeślą, koncerty zespołów amatorskich. Rezygnacja z organizowania pochodów pierwszomajowych, nie ludzmy się, jest oddawaniem punktów bez walki, walkowerem i to nie sportowym, ale politycznym.

Okazuje się, że manifestacje pierwszomajowe z okresu najgłębszej konspiracji, w formie majówek, też nie nadają się do powtórzenia. Mimo całej nagromadzonej potęgi zakładów pracy, autobusów, posiadania własnych ośrodków rekreacyjnych nad jeziorami, siły organizacji partyjnych, nie można ludzi i ich rodzin wywieźć na ten dzień na łono natury. Bo koszt takiej imprezy skromnie licząc, wynosi na uczestnika, minimum tysięcy złotych. Pieniądże, nawet jeśli są, każdy woli zabrać w formie gotówki, do własnej kieszeni!

Pochody pierwszomajowe, setną rocznicę tu i ówdzie będziemy obchodzili przez nieodbywanie, tak każde, tradycje, zawsze odbywały się w barwach czerwieni. Na całym świecie było to święto lewicy, robotnicze i ludowe. Innych 1 Majów nie było. Okazuje się jednak, że w określonej koniunkturze politycznej zawiązywanie cudzej tradycji, pozbawienie 1 Maja barwy czerwonej może być możliwe.

Oddanie 1 Maja w ręce nie lewicy jest w obiektywnym rachunku kłęką poniesioną na własne życzenie. Dobrowolne oddanie spodni, marynarki i koszuli, prowokuje do krzyku: Król jest nag!

Nie jest to okrzyk entuzjazmu.

RYSZARD ROWIŃSKI



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

NOCNIK

DZIENNIK



Ukraiński

Rys. SŁAWOMIR URBAŃSKI

Rozrywki umysłowe

McGinaki

POTRZEBNY TRZECI? W 12 numerze „Przeglądu Tygodniowego” Janusz Roszko pisząc najogólniej o Nagrodzie im. Ksawerego Pruszyńskiego, wyraża zdziwienie, że taką nagrodę przyznaje zarówno PEN-Club, jak i SD PRL. Do tego dochodzi jeszcze Nagroda druga PEN-Clubu im. Mieczysława Lepeckiego. „Tak więc — pisze autor — budzi mój największy podziw PEN-Club, który przyznaje dwie nagrody literackie: jedna nosi imię ofiary, a druga jego prześladowcy.” Dla ugody proponujemy więc nagrodę trzecią — Nagrodę im. Janusza Roszki.

TO NIEZUPEŁNIE TAK. W tym samym numerze „Przeglądu Tygodniowego”, w rubryce „Książki przed problemem” znajdujemy informację o wydawanej przez Wydawnictwo Literackie powieści Stefana Kisielewskiego „Przygoda w Warszawie”. Autor jest znanym felietonistą „Tygodnika Powszechnego” (słynny Kisiel) i nieco mniej znanym kompozytorem, a zupełnie niemal nie znanym pisarzem. Warto przypomnieć autorowi tej notki, że Kisielewski opublikował w kraju cztery powieści (w tym dwie pod pseudonimem Teodor Klon), a wydana w 1949 roku i wznowiona następnie w 1957 roku psychologiczna powieść pt. „Spryszczenie” została zaliczona przez prof. Kazimierza Wykę do jednego z najwybitniejszych utworów nurtu powojennych „rozrachunków” inteligentów. Kto czyta, ten wie...

GŁOS Z NOWEJ SOLI. W rubryce „Trzy po trzy” („Karuzela” nr 7) — wypowiedzi czytelników o ich zainteresowaniach i pasjach. Autor rubryki, Janusz Przybysz, odpowiada m.in. Arturowi Frankowskiemu z Nowej Sól, który zapewnia, iż „odpisze na wszystkie listy” — „Chętnie napiszę, ale proszę przysłać na znaczki”. Odpowiedź mało elegancka. Powinno być: „Opiłkę ułści adresata” Tak by to brzmiało w dobrym, przedwojennym tonie!

ZARADNI. Nie milkną prasowe echa handlowych przedsięwzięć mieszkanców Ziemi Lubuskiej, podejmowanych w Berlinie Zachodnim. W 13 numerze „Tygodnika Kulturalnego” tekst Łukasza Wyrzykowskiego pt. „Wielkie zarcie!”, „Edward Kowalski, naczelnik oddziału Urzędu Celnego w Ślubicach, twierdzi, że czegoś podobnego — a pracuje w Urzędzie od 27 lat — jeszcze nie przeżył. Nawet otwarcia granicy pomiędzy Polską a NRD w latach siedemdziesiątych nie można do tego przyrównywać. Wtedy też co prawda naród się rozhandlował i całe furmanki z okolicznych miejscowości zajeżdżały na Alexanderplatz ale i nasi sąsiedzi zza Odry nie pozostawali w tyle, wykupując co się dało w sklepach Poznań, Gorzów, Zielonej Góry, Szczecina. Jednakże ów-

czesna handlowa fala jakby rozłożona była w czasie i przestrzeni, mniej — też w niej było pazerności i chęci wzbogacenia się za wszelką cenę.

Kowalski i jego koledzy celnicy, zarówno w Ślubicach, jak i Świecku, Gubinie, Kunowicach zdawali sobie sprawę z tego, iż wprowadzenie od 1 stycznia 1989 r. nowych przepisów paszportowych spowoduje wzrost ruchu granicznego. W końcu ze Ślubic, Rzepina, Lub ska, Zagania jest bliżej do Berlina Zachodniego niż do Poznania, nie mówiąc o Warszawie.” Z pewnością bliżej — bardziej opłacalnie.

TO JEST SZYK! W cyklu „Na giełdach”, tym razem barwny opis warszawskiej „SKRY” („Veto” nr 13): „Nie można mieć pretensji do organizatorów giełdy o to, że niektórzy handlowcy zachowują się arogancko. Zresztą, uważają, że jeśli zapłacili haracz w wysokości 500 zł (placowe), to im uszy skło wolno. Dotychczas byliśmy przyzwyczajeni do tego, że sprzedający chcą pozbęd się towaru przyjmowali po zę nasuwającą myśl, że potrzebują wsparcia finansowego. Byli zwykłe nie co mniej wykwinie ubrani niż „klien ci”, jedli przynoszone ze sobą kanapki. Teraz „handlowcy” to elita, high-life naszego społeczeństwa. Ubrani w skóry tureckie a250 tys. zł — jeśli spodnie 350 000 zł — jeśli krótka kurtka, lub cały komplet za jakiegoś „balona”. Półki chłodno, panie sprzedające siedzą w kurtkach z LISOW, które to wdzianko — jak wiemy — ma cenę od 1,5 miliona wozów. Stojem „roboczym” ekspedientów rezydujących przy ul. Wawelskiej w najgorszym razie jest najmodniejszy dzins. Sprzedający pachną SWIATEM — trzeba to przyznać i co najmniej Yardley'em. I bardzo dobrze, tylko że kupujący przy nich to kulisi — SZARA CIŻBA LUDZKA.” Wobec takiej wykwinności warszawskich handlarzy, zielonogórskie targowisko przy pl. Wielkopolskim jawi się nam jako okaz purytańskiej i wręcz prymitywnej prostoty!

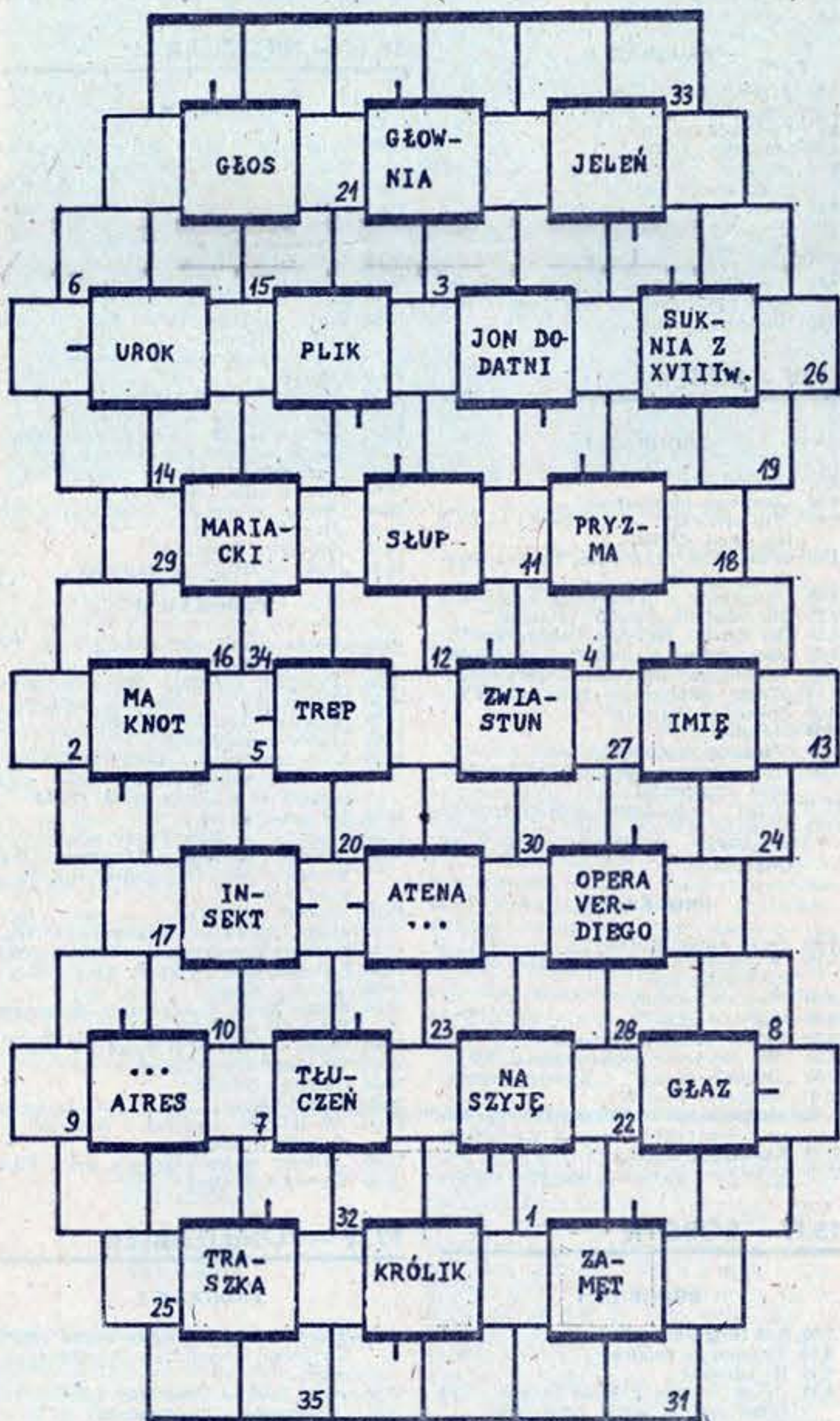
POLECAMY. Ukazał się oto pierwszy zeszyt nowej edycji czasopisma „Regio ny”, które przekształciło się z kwartalnika w dwumiesięcznik, zmieniło szatę graficzną i zastępcę redaktora naczelnego, dzięki czemu zyskało niewątpliwie na wartości. Spośród szczególnie godnych polecenia publikacji polecamy m.in. „Księgę snów” — literacki zapis pióra znanego krytyka Henryka Berezę, Listy Edwarda Stachury do Juliana Przybysia, „Medytacje” Zygmunta Kubiaka a także — omówienie powieści Wojciecha Czerniawskiego „Challenger łąduje na twoich ustach” pióra Piotra Kowalskiego. W recenzji tytułowanej „Karuzela świata” autor pisze m.in.: „Karuzela jest rodem z literatury, nie jest to jedyna do rozpoznania aluzja. Ta jednak jest zastanawiająca i ponura.” I choć zabrakło w tym omówieniu elementów wartościujących powieść, zarów

no samą recenzję jak i całe pismo rekomendujemy. Bez kumoterstwa.

MICHAŁ KAZIÓW W OCENIE „ODRY”. Natomiast w 3 zeszytzie wrocławskiej „Odry” autor podpisany skromnie inicjałami Cz.S., publikuje notę recenzentką zbioru opowiadań Michała Kaziów pt. „Zdeptanego podnieść”. Te opowiadania — pisze Cz. S. — „Napisane (a raczej podyktowane) zostały klarownym językiem mówionym. Bardzo obrazowym i wbrew pozorom precyzyjnym. Mają po części charakter biograficzny, z głębokim wejściem w dzieciństwo, a po części mówią o innych niewidomych, o ich losie, udręce i psychicznej ciemności. Tradycyjne w formie. Ale przecież nie popisy formalne są celem Kaziowa. Ukazuje tu został dramat rozgrywający się we wnętrzu kalek i niepełnosprawnych ludzi. Dramat zawsze rzutowany na szersze tło społeczne. Mogło by się wydawać, że na miejscu byłby namaszczonej cierpiętności ton. Przeciwnie, znajdujemy tu sporo sytuacji humorystycznych, autoironicznych. Kaziów nie epatuje kalek, a jedynie uczy sławia czytelnikowi zwyczajność trudów, jaki musi pokonywać człowiek okaleczony, stary, nieszczęśliwy. Opowiadania te uczulają na los bliźniego. Wiele też w nich, nieuchronnie, tonacji „ku pokrze pieniu”. Czy to jednak źle?” Pytanie jest retoryczne. Odpowiedź jest tylko jedna — twierdząca.

CNOTA I SEX. Aktor Jerzy Cnota u dzielił wywiadu Jerzemu Florkowi z tygodnika „Fakty” (nr 11), wyznając m.in.: „Powodzenie u kobiet już miałem. Kiedyś. Amantów nie galem, bo do tego trzeba po prostu mieć warunki. Jedną z moich koleżanek z branży powodziła kiedyś: Gdybym się z tobą położyła do łóżka, to bym się ciągle śmiała. O mój sex appeal musiałbyś pan jakąś kobietę zapytać. A gdyby się okazało, że go jednak mam, to i tak nie za grałbym w filmie pornograficznym...”. Aktor, a taki skromny?

REFLEKSJA PRZYTOMNA. W tym samym numerze bydgoskich „Faktów” nasz ulubiony a wyżej ceniony od Pasenta felietonista konstatuje w „Sprawie dla-rzecznika”: „Nie dość, że jesteśmy opóźnieni w rozwoju, bo kasyna już dawno mają Czesi i Węgrzy, a Jugosłowianie dorobili się nawet pierwszego w świecie doktora od gier hazardowych, to jeszcze chcemy poderżnąć gardło kuzynom, mogącej znieść złote jajka. (Nie dopuszczając do gier Polaków — nasz przyp.). Do polskich kasyn nie zjadą milionerzy, gotowi tracić fortuny w rulet kę lub Black Jacka. Zresztą, czasy wielkich utracjuszy na świecie dawno już minęły i kasyna opalone są przez klientów przegrywających nieduże sumy. Do naszych hoteli ściągają gasta-baite-ry, których w Berlinie Zachodnim nie stać na wizytę w domu publicznym. Nie da się ukryć, obsługujące tego typu klientów Polki też nie są zaliczane do elity krajowych prostytutek.” Nie da się ukryć, że autor ma rację. Sami to zauważyliśmy podczas pobytu w ekskluzywnym warszawskim „Forum”.



WIROWKA Z HASŁEM
Opr. Wiesław Pyżewicz
Zielonogórski Klub Szaradzystów
„Labrys”

Kierunek wpisywania wyrazów przekreślony. Litery z pól ponumerowane.



nych od 1 do 35 utworzą rozwiązanie — przysłowie polskie, które prosimy przysłać na adres naszej redakcji w terminie do 3 maja br. (z naklejonym na kopercie kuponem). Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR6

Hasło — „Gdy dzwony wielkanocne pada, suchosć nami przez cały rok wladą”. Nagrody książkowe wylosowali: BOGUMILA ANDRZEJEWSKA z Gubina, ANDRZEJ KONIK z Krakowa, JAN MARCINIAK z Klepska k. Nowego Kramka oraz DANUTA STEFANIAK ze Strzelca Krajeńskich. Gratulujemy.